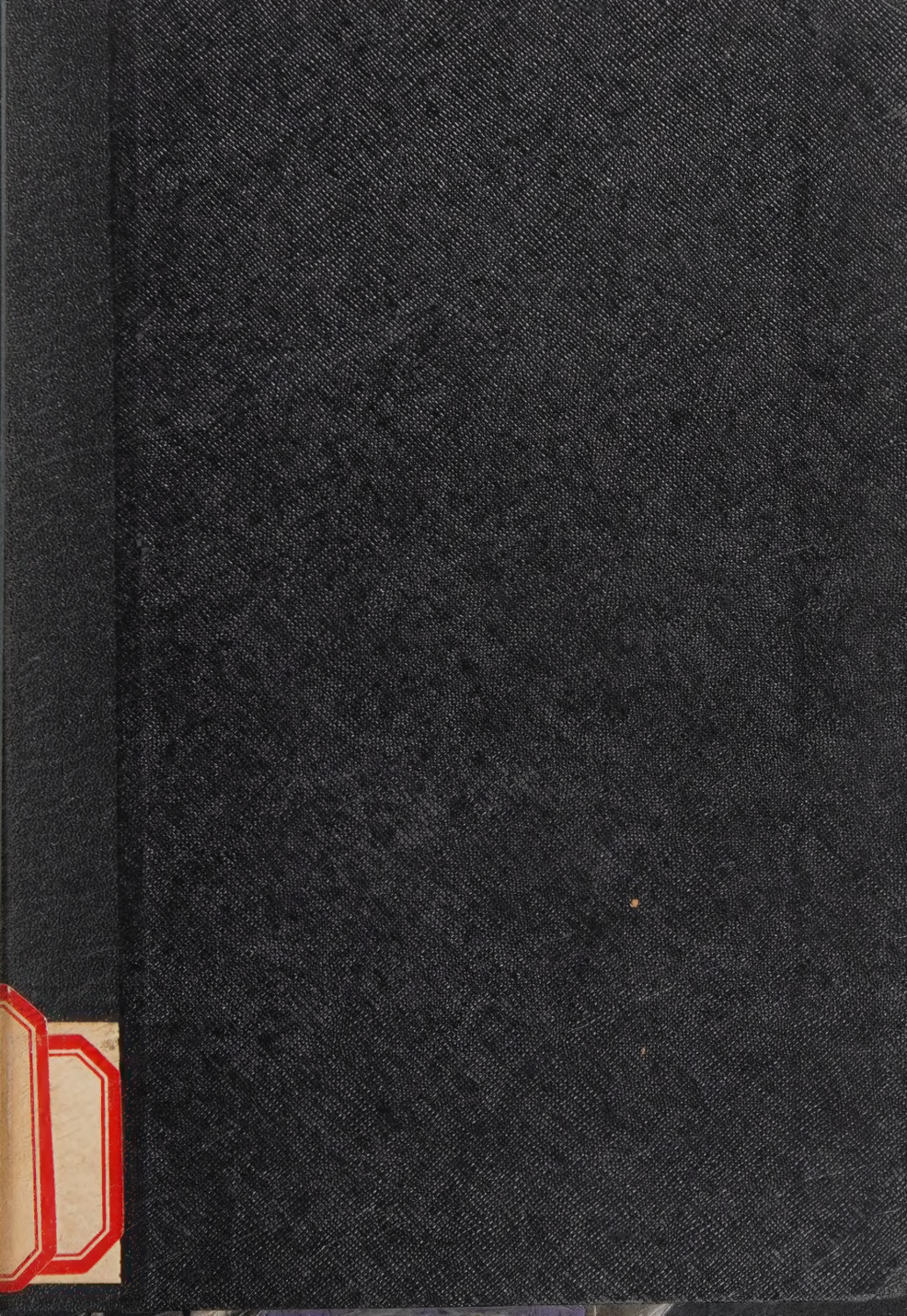

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/dobrawrozka0000abbi

III, I, 18, 24

DOBRA WRÓŻKA

Abbie Farwell Brown.

DOBRA WRÓŻKA

Powieść dla dzieci od lat 10 — 12

przekład

C. Niewiadomskiej.

WARSZAWA
Nakładem księgarni J. Lisowskiej.
1922

Printed in Poland

Druk Synów St. Niemiry Pl. Napoleona 4.

I. ZACZAROWANA KSIĘŻNICZKA.

W lichym domku, na czwartem piętrze, przy jednej z ciasnych, wąskich, ciemnych ulic, był mały, brzydki pokoik pod dachem. W zimie bywało tam straszliwie zimno, a w lecie bardzo gorąco, aż duszno. Rozumie się, że mieszkali tu ludzie ubodzy.

Na świecie był prześliczny dzień czerwcowy, sobota, w szkołach rekreacja, i dlatego w ogrodach pełno dzieci, śmiechu, biegania i hałasu. Ale mały pokoik na poddaszu miał drzwi z zewnątrz na klucz zamknięte, przez które słychać w nim było płacz głośny.

Któż tam płacze? Nie można wątpić, że to dziecko. Dziecięcy szloch wybucha czasem rozpaczliwie, potem słychać jakieś wyrazy, gniewne, skarżące się, i znowu łkania.

Na ulicach wesoło i przyjemnie, ludzie spieszą do pracy, inni na przechadzkę, — w ogrodach kwitną kwiaty, zielenią się drzewa, ptaszki ćwierkają, i bawią się dzieci, — a tu ponuro, duszno, i ktoś płacze.

Płacze Madzia sierota. Leży w kącie na tapczanie, zwinięta niby zwiędły pączek róży, rzucony w ciemny kąt bez kropli wody. Sukienka na niej zmięta i podarta, a ciemne długie włosy rozczochrane, w nieładzie spadają na twarz. Nad okiem ma siniaka i posiniałą rękę, a powieki spuchnięte i zaczerwienione.

Podniosła się i usiadła na tapczanie, wzrokiem objęła pokój ciemny, brzydki, pusty. Jedyne małe okno wychodzi

na ciemną uliczkę, i słońce nigdy przez nie nie zagląda. Na oknie dwie doniczki pelargonji, która naprożno stara się wyglądać ładnie. Pod oknem kiwający się stół i dwa krzesła, w kącie półka z przeróżnemi rupieciami, za rozwalonym piecem drugi tapczan — to już całe umeblowanie!

Madzia z goryczą patrzy na to wszystko, wreszcie zrywa się, staje, tupie, zaciska pięści.

— Ja chcę wyjść! — woła głośno, coraz głośniej. — Nie chcę tu być zamknięta! Nie chcę, nie chcę! Dziś sobota i wszyscy poszli do ogrodu. Ja chcę wyjść! Ja ucieknę!

Podbiegła do drzwi, uderza w nie pięścią, kopie nogami, krzyczy.

— Otwórzcie! Czy słyszycie? Otwórzcie mi zaraz! Ja nie chcę być tu zamknięta! Ja nie chcę!

Madzia mówi zupełnie poprawnym językiem, nie tak, jak inne dzieci na podwórzu, gdyż matka Madzi uczyła ją mówić poprawnie, uczyła wielu rzeczy, póki żyła.

Potem umarła, i Madzia została sierotą. Nie miała tu nikogo w wielkiem mieście i wzięła ją z litości biedna praczka, która nie mając czasu opiekować się dzieckiem, najczęściej zamykała ją w pokoju na klucz, kiedy szła do roboty.

Biedna Madzia zmęczyła się krzykiem, stukaniem, zabolały ją małe rączki od uderzeń, i z westchnieniem oparła się o ścianę.

— Nikt nie usłyszy — rzekła — wszyscy poszli do roboty. Więc mam tu siedzieć, aż Tilda powróci?

I wybuchnęła znowu głośnym płaczem.

Lecz i łez także widać jej zabrakło, bo uspakajała się zwolna. Oglądała swoją posiniałą rękę i znów załkała cicho.

— Żeby to mama widziała! — szepnęła. — Ach, takbym chciała mieć mamę, i dom swój, być przy mamie, jak dawniej.

— Ja chcę wyjść! — woła głośno.

Zakryła twarz rękami, upadła na krzesło, stojące obok stołu, i wybuchnęła głośnym, rozpaczliwym płaczem.

Nagle ucichła i otarła oczy. Podniosła głowę.

— To się na nic nie zda — powiedziała głośno. — Po co mam płakać? Nikt nie słyszy i nikt mię nie wypuści. Będę siedziała sama do wieczora...

Widocznie ogarnęła ją znów rozpacz, ale zapanowała nad sobą.

— Niegodziwa Tilda! — szepnęła z groźnym błyskiem czarnych oczu. — I co tam o mnie pomyślą w przytułku? Co pan Graham powie? Nie przyniosłam zadania i nie poszłam z dziećmi do parku! Ach Boże! One się teraz bawią i biegają, widzą trawę, zielone drzewa. Dlaczego ja nie jestem, dlaczego ja nie mogę być tam z niemi? Pan Graham pewno opowiada takie ciekawe historje! A ja nie słyszę! Nie będę wiedziała!

Nagle jakiś promyczek błysnął w jej smutnych oczach i rozjaśnił całą twarzyczkę. Zerwała się, spojrzała dookoła, podbiegła szybko do swego tapczana i błyskawicznym ruchem wyjęła z pod poduszki starą, zniszczoną książkę w zielonej okładce. Przycisnęła ją gwałtownie do piersi, wzniosła oczy ku oknu, szukając tam nieba, a na drobnych usteczkach zaigrał filuterny uśmiech.

— Mam ją! — szepnęła z widoczną rozkoszą. — Mogę czytać i mogę sobie wyobrażać. Nikt mi jej nie odbierze, i Tilda nie będzie wiedziała!

Usiadła na tapczanie i zagłębiła się w czytaniu książki tak zupełnie, że zapomniała o wszystkiem, co ją otaczało. Na jej bladej twarzyczce ukazał się lekki rumieniec, usta się poruszały, wymawiając głośno niektóre wyrazy.

Wreszcie podniosła oczy, może skończyła rozdział.

— Tak mi się jeść chce! — szepnęła z westchnieniem.

Odłożyła książkę, podniosła się zwolna i zbliżyła do półki. Między imbrykiem, szklanką, szczotką i kawałkiem mydła leżał tu papier, na nim sucha bułka i skrawek sera. Madzia kręciła noskiem i ruszała ramionami, ale wreszcie zaniosła to swoje śniadanie na stół, sama usiadła na krześle, książkę położyła przed sobą i zabrała się do jedzenia.

— Tilda jest jędza — zaczęła mówić jednocześnie. — Nie smok ani czarownik, tylko jędza. Jędza zawsze najgorsza dla zaczarowanej księżniczki. Ale zawsze księżniczka ucieknie od jędzy. I ja ucieknę także.

Rzuciła okiem na książkę i czytając, zaczęła deklamować głośno:

— „Dokoła stołu zasiedli książęta, rycerze w złotych zbrojach i księżniczki, jedno miejsce czekało na zaczarowaną królewnę. Nakoniec drzwi się same otworzyły, i weszła piękna, w złotej szacie z djamentami, i zasiadła przy stole na najwyższem miejscu, a paziowie podawali jej pyszne potrawy, ciastka, cukry, owoce i przewyborną pieczeń".

Naśladując zaczarowaną królewnę, Madzia z rozkoszą podnosiła do ust kawałki suchej bułki i kruszynki sera, widocznie wyobrażając sobie na pociechę, że zajada przysmaczki.

— „Białą rączką sięgnęła do złotego kubka, w którym pieniło się zamorskie wino" — mówiła Madzia, sięgając zarazem do stłuczonego dzbanka, który stał na stole, aby suche jedzenie popić wodą. — „Z ogrodu płynął zapach kwiatów i śpiew ptasząt".

Spojrzała na okno i coś sobie przypomniała. Podniosła się z krzesełka ruchem zaczarowanej królewny, z godnością przeszła pokój, jak gdyby paziowie nieśli za nią długą jej złocistą szatę, i resztką wody z dzbanka podlała obie pelargonje.

„Królewna lubiła kwiaty — zaczęła znów głośno — i pielęgnowała je sama troskliwie, a rycerze podziwiali w niej tę dobroć. Przed oknami pałacu przechadzały się błękitne pawie, połyskując mieniącemi się piórami, a królewna ze swego stołu sypała im przewyborne okruszynki".

Powróciła do stołu, zgarnęła starannie okruszynki swego śniadania i z wdziękiem zaczarowanej księżniczki sypała je za oknem.

Natychmiast kilka wróbli zleciało się ze świergotaniem, kłócąc się zawzięcie o lepsze kawałki, a z sąsiedniego dachu spuścił się perłowy gołąb, dziobnął niedbale książęce śniadanie i uważnie spojrzał na Madzię.

— Jaki śliczny! — szepnęła, składając ręce w zachwyceniu. — Jak mądrze patrzy! Doprawdy — doprawdy — kto wie, czy to nie wróżka w postaci gołębia! Powiedz, czy jesteś wróżką? — zawołała, wychylając się z okna.

Lecz ruch Madzi spłoszył gołębia i wróble, odleciały i zniknęły w mgnieniu oka, a dziewczynka z westchnieniem znowu usiadła na krześle.

— Chciałabym umieć fruwać tak, jak one! — rzekła.— Choć trochę. Choć czasem. Nie siedziałabym tu, w dusznym pokoju. Tak mi się jeść chce! Takbym się napiła mleka! Doprawdy jaka wróżka mogłaby mi dostarczyć trochę dobrego jedzenia, jak w książce. Doprawdy. Mam przecież talizman, i powinno się już zacząć jakieś szczęście!

Ostrożnie wyjęła z kieszeni swojej zniszczonej sukienki mały czerwony kamyk w kształcie serca, z białą obwódką wkoło, położyła go na stole przed sobą i zaczęła przypatrywać się uważnie.

— Prawda — rzekła — że już po trochu coś się dzieje. Tak odrazu nie można. Już przecie i to szczęście, że właśnie zobaczyłam, jak pan Graham go znalazł na ulicy. Tak dziwnie spojrzał na mnie, kiedy się przypatrywałam, co ma

w rękę, i powiedział: — „Zdaje mi się, że wróżka dla ciebie przysłała ten talizman szczęścia". I podał mi ten kamyk.

— Mnie się także odrazu zdawało, że to dla mnie, i napewno dobra wróżka to zrobiła, bo przecież zaczęłam przez to chodzić do przytułku. Pan Graham powiedział wtedy: — „Zdaje mi się, dziewczynko, że ty nic nie wiesz o wróżkach ani innych ciekawych rzeczach. Przychodź do przytułku, a będziesz się bawiła z dziećmi i słuchała pięknych historji, które im opowiadamy".

— I zaraz wziął mię za rękę i zaprowadził do dzieci. No, czy nie talizman to zrobił?

— W przytułku tak wesoło i przyjemnie! Tak się tam dobrze bawię! I tyle się tam nauczyłam. Mama pewno posyłałaby mię tam dawno. Teraz już wiem o wróżkach i o smoku, o jędzach, o św. Jerzym, a pan Graham jest moim przyjacielem i darował mi tę śliczną książkę.

— Doprawdy, że talizman już bardzo dużo zrobił! Przecież gdybym nie przeczytała tej książki, tobym nawet nie wiedziała, co to znaczy zaczarowana księżniczka, ani jak można „zdjąć zaklęcie". I nie wytrzymałabym u Tildy, bo nie wiedziałabym, że ona jest jędza.

— Ale zdaje mi się, że czas, aby talizman zrobił jeszcze coś więcej żeby mię spotkało jakie prawdziwe szczęście. Bo inaczej na cóż talizman? Pan Graham też powiedział, że w to wierzy.

Ktoś idzie po schodach! Słychać wyraźnie kroki. Ktoś się zatrzymał przed drzwiami i puka. Kto to? Teraz cisza.

Madzia zbladła, szeroko otworzyła oczy, — potem nagle w dwóch skokach przebiegła przez pokój i wsunęła książkę pod poduszkę.

Teraz już jest spokojna. Patrzy na drzwi, słucha i czeka.

— Czyżby to była Tilda?

Ktoś znowu puka. Madzia stoi nieruchoma, nie odpowiada. Serce jej bije jak młotem.

— Jest tam kto? — odzywa się męski głos za drzwiami.

— Pan Graham! — woła Madzia i rzuca się do drzwi. — Niech pan otworzy! Ja jestem zamknięta!

— Zamknięta?

Jakaś ręka szybko obraca klucz w zamku i drzwi się otwierają. Na progu stoi mężczyzna, jeszcze dosyć młody, z twarzą dobrą i bardzo dobremi oczyma. Teraz wyraża się w nich zadziwienie.

— Dlaczego jesteś tutaj? — zapytuje. — Dlaczego nie przyszłaś dzisiaj do przytułku, żeby iść ze wszystkiemi dziećmi do ogrodu?

— O panie Jerzy! panie święty Jerzy! przyszedłeś po mnie i zwyciężyłeś smoka!

Podniosła ku niemu serdeczne spojrzenie i obu rączkami wzięła go za rękę.

Pan Graham usiadł na krześle i pociągnął ją ku sobie. Na ustach miał ojcowski, dobry uśmiech.

— Powiedzże mi nareszcie, co to wszystko znaczy. Skąd ten siniak na czole? Co zrobiłaś z ręką?

— To przez Tildę — rzekła, wydymając usta i ruszając z niechęcią ramionami. — Chciałam wyjść wczoraj wieczorem, ona mi nie pozwoliła, no, i spadłam ze schodów. To jest jędza.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj spałam długo, więc mię zamknęła i poszła. Cóż ją to obchodzi, że dzieci idą do ogrodu? Jędza musi dokuczać i więzić.

— Moja księżniczko — rzekł dobrotliwie mężczyzna — chciałbym, żebyś dla Tildy nie była tak sroga. Prawda, nie jest przyjemna i nie rozpieszcza cię wcale, pomyśl jednak, że ona zajęła się tobą, kiedy zostałaś sama. Nikt

się nie troszczył, co się z tobą stanie, ona cię nakarmiła i wzięła do siebie. Tilda ciężko pracuje. Może być nieraz zła, bo jest zmęczona.

— Więc pan myśli, że ona nie jest jędza?

— Myślę, że ona jest zaczarowaną, nieszczęśliwą księżniczką.

Madzia klasnęła w ręce.

— Czy to być może! — szepnęła zdumiona. — Taka Tilda! Ale prawda, prawda, — raz księżniczka była w skórze żaby-ropuchy. Ropucha jeszcze brzydsza od Tildy, nieprawdaż?

Pan Graham nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Wiesz, Madziu, czasem nie wiem, czy dobrze zrobiłem, dając ci tę książkę o wróżkach. Zanadto teraz myślisz o świecie zaczarowanym.

— O, niech pan nie odbiera! — zawołała Madzia z przestrachem. — Cóżby się ze mną stało, gdybym się nie dowiedziała, że dobra wróżka może zdjąć ze mnie zaklęcie, i że będę wtedy szczęśliwa?

Pan Graham pogładził jej roztargane włosy.

— Biedna Madziu — szepnął jak gdyby do siebie — nie odbiorę ci książki, i dobra wróżka będzie pamiętać o tobie. Wierzę w to bardzo mocno. A teraz pójdźmy. Czy nie jesteś głodna?

Madzia się uśmiechnęła.

— Zaczarowana księżniczka wstała od wspaniałej uczty — zaczęła deklamować. — Resztki rzuciła pawiom, przechadzającym się pod jej oknami, a napojem obdzieliła biedne kwiaty, spragnione kropli dżdżu!—Dlaczego pan tak dziwnie na mnie patrzy? — Tak jest w książce, i to przyjemniej niż wiedzieć, że się je suchą bułkę z kawałeczkiem sera. Zawsze przyjemniej wyobrażać sobie coś lepszego.

Pan Graham patrzył na nią rzeczywiście dziwnie, wresz-

cie westchnął, przesunął ręką po czole i wyjął z kieszeni paczkę suchych ciastek.

— Zjedz kilka — rzekł. — To dla was do ogrodu. Ale ty możesz swoją część zjeść w domu, potem pójdziemy razem. Panna Wilkes czeka, i musimy się trochę pospieszyć, bo trzeba jeszcze wstąpić do apteki i opatrzyć twoje siniaki.

— Do apteki? — O, nie chodźmy, panie Jerzy! Znów mi przylepią czarny, brzydki plaster. I tak się zgoi. Zobaczy pan! — mówiła, chrupiąc suche ciastka z rozradowaną minką.

— Takie małe dziewczynki muszą słuchać starszych — rzekł pan Graham poważnie, choć z dobrocią. — Pojedziemy dorożką i będziemy w ogrodzie prędko. A teraz jedz, boś blada i mizerna, a ja lubię dzieci zdrowe i rumiane. Dlatego też i ciebie muszę zarumienić na słońcu i powiem ci coś bardzo przyjemnego.

— Wróżka?

— Nie wiem, czy wróżka, ale miła niespodzianka.

— Niespodzianka! — powtórzyła rozpromieniona Madzia, otwierając usta z połową ugryzionego ciastka.

— Czeka cię niespodzianka. A wiesz jaka? Lubisz drzewa, ogrody, kwiaty, prawda? A byłaś kiedy na wsi? Na prawdziwej wsi? Chciałabyś pojechać na parę tygodni? Co, jak myślisz, Madziu?

Madzia przestała jeść. Jej wielkie czarne oczy otwarły się szeroko i świeciły na bladej twarzy jak dwie gwiazdy.

— Czy to naprawdę, panie? — szepnęła nieśmiało. — Czy naprawdę ja mogłabym pojechać na wieś? Naprawdę?

— Mogłabyś, możesz i naprawdę pojedziesz, bo tego bardzo potrzebujesz. Zajmę się tem zaraz i będziesz gotowa niedługo.

— Czy to może być prawda? I Tilda pozwoli? A jak wygląda wieś? I czy to daleko? Jak się ta wieś nazywa?

— Nazywa się Zagórze, bo jest za górami. Cóż, ładne imię, Madziu?

— Śliczne! Jak w bajce! Zaczarowane księżniczki zawsze mieszkają w zamku za lasami i za górami. Czy tam i rzeki są? A zamek jest, nieprawdaż? I ja naprawdę takie Zagórze zobaczę? pojadę tam?

— Pojedziesz i zobaczysz. Leży naprawdę za górami, za lasami, więc powinnaś być zadowolona i powrócić zdrowa i silna. Będziesz mieszkała w chacie u bardzo dobrych ludzi, którzy mają własny domek, i duży kawał pola. Pan Timin orze w polu, a pani Timin zajmuje się gospodarstwem. Ich dzieci, mały chłopczyk i dziewczynka, wiedzą o tobie i czekają niecierpliwie, żebyś do nich przyjechała. Wyobrażam sobie, że ci tam będzie dobrze i wesoło.

— O! — zawołała Madzia — na wsi! Tam rośnie trawa, drzewa, kwiaty tak sobie, same, bez siania, jak w ogrodzie, prawda? Mama zawsze mówiła, że chce wrócić na wieś, bo tam dawniej mieszkała. Ach, mój Boże! to już jest prawdziwe szczęście. Właśnie dzisiaj myślałam! Wróżki też mieszkają na wsi, prawda, panie?

— Sama się przekonasz, Madziu, ja nic nie wiem. Jeśli tam będą, to je pewno spotkasz, bo cię kochają bardzo. W przyszłym tygodniu lekcje kończą się w przytułku, i zaraz potem w drogę!

Madzia z niepokojem spojrzała na siebie.

— Nie wiem tylko — zaczęła i zarumieniła się mocno — ta sukienka jest już podarta, a tamta — też podarta. Nie wiem, czy tak można — się pokazać tamtym dzieciom. Mama nie pozwalała mi chodzić w podartych i brudnych sukienkach, ale teraz — cóż zrobię? Nie wiem, czy potrafię naprawić i uprać — — A wróżki — nie wiem — czy pan myśli —

— Myślę, że jakoś się na to poradzi. Nie martw się,

Madziu. Myśl sobie o tem, że tam Bob i Bessy już czekają na ciebie. A teraz chodźmy.

— Idę. — Ach, jakież to szczęście! To naprawdę talizman zrobił, panie Graham. Jak to dobrze, że pan go dla mnie znalazł! Książkę zabiorę z sobą do Zagórza, choć umiem ją całą na pamięć. Ale nie chcę zostawić: gdyby Tilda znalazła, mogłaby ją spalić. Bo ja nie jestem pewna, czy ona nie jest jędza. Czy pan naprawdę myśli, że ona może być księżniczką? To byłyby okropne czary! Jabym wolała być w skórze ropuchy.

Nagle rzuciła się na szyję panu Graham i zaczęła go całować z całej siły.

A dobry człowiek gładził jej potargane włosy, westchnął, poprawił zgniecioną sukienkę, wziął dziewczynkę za rękę, i zeszli oboje po schodach.

II. NA WSI.

Spóźniony pociąg, sapiąc, wdzierał się powolnym ruchem po stromej pochyłości w głąb górskiego kraju. Od ostatniego miasta odbiegł o siedem godzin, do następnego miał dziesięć mil przed sobą. Podróżni okazywali znużenie i zobojętnienie na piękne krajobrazy, przesuwające się zieloną wstęgą po obu stronach drogi.

Konduktor ociężałym i leniwym krokiem szedł przez wagony i zatrzymał się przy dziewczynce, która wyglądała przez okno, oparta ręką na skromnym koszyczku. Madzia nie zwróciła na niego uwagi, pochłonięta zupełnie cudownym widokiem, jaki roztaczał się przed jej oczyma. Ogarnął ją czar piękna po raz pierwszy w życiu, i zapomniała o rzeczywistości.

Konduktor lekko dotknął jej ramienia.

— Panienka wysiada na następnej stacji — rzekł, wskazując ręką kierunek. — Dojeżdżamy już do Zagórza.

Madzia podniosła na niego poważne spojrzenie swych wielkich, czarnych oczu.

— Ach, więc to jest Zagórze! Jak to dobrze! Ach, jak się cieszę. Dziękuję!

Wzięła swój koszyczek, gotowa do drogi.

Konduktor się uśmiechnął.

— Wcale się nie dziwię, że się panienka cieszy — rzekł uprzejmie. — Długa droga, jechać tak samej. Ale proszę poczekać. Nie wyskoczymy w biegu. Ja pomogę na stacji.

Madzia usiadła znowu i zdjęła kapelusz, opasany czerwoną wstążką. Spojrzała na sukienkę, jasną, perkalową, która była czysta i świeża, kiedy w niej wsiadała do wagonu. Westchnęła lekko i zwróciła się znowu do okna. Nie mogła oderwać oczu od tych gór zielonych, pokrytych płaszczem lasów lub aksamitem murawy, z wystającemi zrzadka szczytami nagich skał i wstęgami srebrnych potoków, spadających szybko w doliny. Naprawdę był to kraj czarów i cudu, cóż dziwnego, że wydał się zaczarowanym dziewczynce z pokoiku na poddaszu.

— Ach, jak się cieszę! jak bardzo się cieszę! — szeptała do siebie z rozjaśnioną twarzą. — Wszystko jak na obrazku, wszystko tak, jak w książce! I ja to widzę sama! Ach, ach, ten pałac biały tam na górze? Jaki cudny! Jak z cukru lub ze śniegu! już się chowa w zieleni! Jaka szkoda. To pałac dobrej wróżki lub księżniczki. O, jestem tego pewna!

— Zagórze! — Zagórze! — powtarzał konduktor, a pociąg zwalniał biegu, wjeżdżając na stację, otoczoną grupkami małych domków.

Madzia wstała nerwowo i sięgnęła po swój koszyczek,

lecz konduktor sam wziął go w rękę, wskazując, aby szła przed nim.

— Prędzej trochę! — zawołał grzecznie. — Nie stanęliśmy tu dla odpoczynku.

Madzia przyspieszyła kroku, lecz zrobiło jej się gorąco. Czuła się onieśmieloną i dopiero teraz jakby opuszczoną. Kto ją tam spotka? Jacyś obcy ludzie. I co ma im powiedzieć? Jak się zbliżyć?

Konduktor zszedł pierwszy po stopniach wagonu, postawił na ziemi jej mały koszyczek, wyciągnął do niej ręce i ostrożnie zsadził ją z wysokich stopni. Stała blada i widocznie zalękniona, więc uśmiechnął się do niej i pożegnał ją skinieniem ręki, bo pociąg już ruszał dalej.

Madzia nieśmiało spojrzała dokoła, ale na stacji nie było nikogo. Posługacz wziął jej koszyk i postawił przy ścianie obok ławki, a potem zniknął, pozostała sama. Maleńka stacyjka wydawała się pustą najzupełniej. W sąsiednich domkach ani śladu życia. Ani jednego człowieka dokoła, ani psa nawet. Czy wszystkie zasnęły? To straszna taka cisza. Taka cisza!

I nikogo na całym świecie!

Dziwne uczucie ogarnęło Madzię: trwogi, smutku i zachwytu jednocześnie. Bo jeśli to jest kraj zaczarowany, gdzie wszystko śpi od stu lat, może dawniej?...

Usiadła na ławce obok swojego koszyczka i patrzyła na góry przerażonym wzrokiem.

Góry! Widzi góry. Więc takie są góry! Otoczyły ją wkoło, tłoczą się jedna na drugą i wszystkie patrzą na nią, a te dalsze wyraźnie wychylają głowy z poza ramion tych najbliższych. Cudnie wyglądają w tym zielonym stroju. Madzia czuje w powietrzu zapach traw i kwiatów.

— Takie wysokie! — szepnęła nakoniec. — Jakże ja jestem mała tutaj przy nich! Nie wiedziałam, że świat jest

taki ogromny i piękny, — i taki pusty. Nie wiem, co to będzie. Bo jeśli wszyscy śpią... Może powinnam iść i obudzić śpiących, jak ten książę, co zbudził uśpioną księżniczkę... Ale nie mam odwagi. Nie wiem, co robić. Nie wiem, gdzie iść. Chciałabym, żeby pan Graham był tutaj. On wszystko wie. Onby powiedział, co począć.

— Żeby choć jaki głos — szepnęła znowu. — Tak strasznie cicho. Chciałabym coś usłyszeć!

Zaledwie wymówiła te wyrazy, kiedy gdzieś w górze za nią, nad nią, niewiadomo, rozległ się dziwny, cienki, kłujący i brzęczący, nieznany, niepodobny do wymówienia dźwięk Z-z-z-z!

Drżał w powietrzu i brzęczał gdzieś tuż, tuż, dokoła.

Madzia przerażona, zerwała się z miejsca i spojrzała za siebie. Lecz za nią nie było nikogo.

— Z-z-z-z! — zabrzęczało znowu tak złośliwie, iż zrozumiała nagle, że to jakaś zła potęga naśmiewa się z niej, szydzi.

— Zły duch albo czarodziej — szepnęła drżącym głosem. — Co tu robić?

Obejrzała się, czy niema w pobliżu kryjówki, gdzieby się schronić mogła, ale przecież nie wejdzie do tych pustych domków, gdzie może być zasadzka.

Łzy błysnęły jej w oczach, lecz połknęła je odważnie. Wtem przypomniała sobie!

Drżącą rączką sięgnęła do kieszeni i z westchnieniem ulgi wyjęła z niej talizman. Teraz była spokojniejsza.

— Dobrze, że go zabrałam — rzekła. — Trzymam go mocno, i nie mogą zrobić mi nic złego.

W tej samej chwili dał się słyszeć oddalony turkot wózka na twardej drodze i wyraźne stąpanie konia. Madzia zwróciła oczy w tamtą stronę i ujrzała na drodze zaprząg, zdążający spiesznie ku stacji. W wózku siedziało dwoje

dzieci i mężczyzna, dzieci się wychylały, wyglądały naprzód, śmiały się i klaskały w ręce.

Wózek wjechał na stację i zatrzymał się obok Madzi. Mężczyzna zeskoczył z kozła. Był wysoki, tęgi, rudy, o dobrotliwej twarzy i poczciwych, niebieskich oczach.

— Domyślam się — rzekł z niezręcznym ukłonem — że ty jesteś Madzia Price, miejska dziewczynka, która potrzebuje naszego górskiego powietrza. To dobrze! Spóźniliśmy się trochę, bo nam powiedziano, że pociąg się spóźni, — więc po drodze załatwiliśmy sprawunki dla matki. No, i wypadło brzydko, żeś tu została sama. Musiało ci być smutno, prawda?

Dostrzegł ślady łez na zakurzonej twarzy Madzi i chciał ją rozweselić. Wstawił do wózka jej mały koszyczek. Poprawił jej siedzenie w tyle, obok dziewczynki, i uśmiechał się do niej przyjaźnie.

Chłopczyk siedział na przodzie i mocno trzymał lejce, z widocznem poczuciem poważnego obowiązku, choć koń nie okazywał wcale złych zamiarów i stał obojętny, ze spuszczoną głową.

Wieśniak podniósł Madzię i wsadził do wózka, a chłopczyk, starszy może o rok od niej, odwrócił do niej głowę i witał ją szczerym, radosnym uśmiechem, ukazując w szerokich ustach zdrowe zęby. Był podobny do ojca, także rudy, i miał dobre, niebieskie oczy.

— Byłaś sama! — rzekła dziewczynka ze współczuciem zrozumienia tej przykrości.

— Tak, byłam strasznie sama — rzekła z westchnieniem Madzia — ale się nic nie bałam, póki nie usłyszałam tego okropnego głosu.

— Jakiego głosu? — spytał wieśniak zadziwiony.

— Taki głos cienki, ostry. O! słyszycie? Znowu! To jest zły głos, wiem, i dlatego — No, słyszycie teraz?

Podniosła palec i spoglądała kolejno na zdziwione twarze wieśniaków. Czyżby oni nic nie słyszeli?

— Blisko! Blisko! — szeptała — Z-z-z-z! — przecież słychać?

W tej chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem, a mała Bessy objęła Madzię ramionami i śmiała się, przytuliwszy twarz do jej ramienia.

— Niechże cię, mała! — odezwał się wreszcie pan Timin, ocierając pełne łez oczy. — Czyż nigdy nie słyszałaś bąka?

— Nie znasz bąka? — pytała Bessy, podnosząc rozweseloną twarzyczkę.

Madzia potrząsnęła głową.

— Co to jest bąk? — spytała. — Zły duch? czy zła wróżka? czarownica?

Bob podał ojcu lejce i wybuchnął śmiechem.

— To taki owad — objaśnił ją — owad. — Kiedy leci, wydaje ten głos skrzydełkami.

— Ach! — zawołała Madzia z wyrazem ogromnej ulgi. — Biedne stworzenie! Onby pewno chciał ślicznie brzęczeć i nie umie. Tak jak Kubuś z trzeciego piętra, co chciał prześlicznie śpiewać, a tak okropnie krzyczał.

Dzieci spojrzały na siebie zdziwione, nie rozumiejąc tego porównania.

Rozmowa urywała się co chwila, gdyż wiejskie dzieci nie mogły zrozumieć, co Madzia opowiadała, a ją znowu dziwiło wszystko, co słyszała od nich i tłumaczyła sobie po swojemu.

Piękność okolicy zachwycała ją i budziła podziw. Okrzykiem radości i szczęścia witała każdą łąkę, i strumyk, i drzewo, i lasek, każdy prawie kwiatek przy drodze, jeżeli go dostrzegła. Prawie nie mogła wierzyć, że wolno je zrywać, że może sobie zerwać, ile jej się tylko podoba.

Kiedy stary koń stępa ciągnął wóz pod górę, Bob zsunął się z kozła i narwał dla niej polnych stokrotek, goryczek, niezabudek, rumianków, cały prześliczny bukiet, który przyjęła wdzięcznie, wąchała, całowała i nie mogła się nacieszyć pięknością tego daru.

— Dziękuję ci! dziękuję! — powtarzała. — Jakie śliczne! Jakie prześliczne! I będę mogła sama zrywać, prawda? Ile zechcę, prawda? Ach, to naprawdę kraj zaczarowany!

— Zaczarowany? — zaśmiał się Bob głośno. — Nie, to Zagórze.

— Tak, Zagórze, ale to jest kraj zaczarowany. Ja poznałam. Widziałam w książce na obrazku. Tu bardzo mało domów, prawie wcale niema, tylko są drzewa, kwiaty, śliczna trawa, wszystko, co lubią wróżki. Czy nie widziałaś wróżki? Nigdy jeszcze? Żadnej? — dopytywała Bessy prawie z niedowierzaniem.

Bob i Bessy spojrzeli na siebie zdziwieni i wybuchnęli śmiechem. Pan Timin spojrzał na Madzię i też ruszył ramionami.

— Wróżki? — rzekła wreszcie Bessy.—Wróżki są tylko w bajkach. Ty wierzysz, że są wróżki?

Madzia zarumieniła się mocno.

— Wierzę — rzekła stanowczo. — Ja wiem o wróżkach wszystko. Ludzie nie wierzą czasem, bo nie wiedzą. Tak powiedział pan Graham. Pan Graham jest bardzo mądry, a opowiada nam o wróżkach śliczne rzeczy! Pan Graham wie! Pan Graham jest święty Jerzy i zabił niejednego smoka. Sam powiedział!

Nagle klasnęła w ręce.

— Wróżki tutaj mieszkają! — zawołała. — Widziałam ich biały pałac jeszcze z pociągu, z okna. Biały pałac na górze, jakby z cukru albo ze śniegu, a wkoło drzewa, drzewa, drzewa!

— Pewno mówisz o Parku? — rzekł Bob, śmiejąc się znowu. — Mogłaś go widzieć z okna. Ale to jest tylko biały dom w dużym ogrodzie, bardzo dużym.

— Park — powiedziała Bessy — jest niedaleko od nas, przynajmniej jeden koniec, jedna strona. O, patrz! tędy się wchodzi. To jest wejście od naszej strony.

Właśnie mijali wielką, kratowaną bramę z żelaznych prętów, pozłacanych w górze, pod białym i wysokim łukiem marmurowym. Z jednej i drugiej strony ciągnął się daleko biały, wysoki mur, otaczający jakąś rozległą posiadłość. Przez sztachety bramy widać było wewnątrz szeroką aleję, piękne, kwitnące drzewa, klomby kwiatów i cudnej zieleni trawniki. — Przed bramą dwa lwy białe marmurowe, każdy na wysokiej kamiennej podstawie.

— O! — szepnęła Madzia, schylając się do ucha Bessy i ściskając mocno jej rękę. — Widzisz? Widzisz! Lwy zaczarowane! To pałac wróżki.

— Te! te! te! — odezwał się z kozła pan Timin, zacinając konika, który poskoczył tak raźnie, że obie dziewczynki mało nie spadły z siedzenia. — Moja mała, masz głowę nabitą wróżkami i wyobrażasz sobie różne baje. A te lwy — to kamienie. A Park należy do pana Penfold z Bostonu, choć nikt z jego rodziny tu nie mieszka. Niedobry człowiek.

— Więc kto mieszka tutaj? — zapytała Madzia.

— Nikt, — tylko służący. Ktoś tam jest zawsze, co się opiekuje domem i ogrodem, ale obcego nie wpuszczają nigdy. Piękny dom, piękny ogród. Już czterdzieści lat, jak go Penfold kupił, ale od lat dziesięciu nigdy tutaj nie przyjeżdża ani on, ani żona, ani dzieci. I nikt tam nie chodzi, ani ze wsi, ani z miasteczka. Mówią, że pan Penfold ma z dziesięć takich pałaców po różnych końcach świata i nie

może mieszkać we wszystkich. Ale to nie jest dobrze. Bo co z tego dla kogo za pożytek?

— Ktoś przyjechał do Parku, ojcze—odezwał się Bob niespodzianie.—Widziałem w przeszłym tygodniu automobil.

— A kto w nim siedział? — zapytała Bessy.

— Nie wiem — odparł brat obojętnie. — Dwie kobiety, których nie znałem. Jedna w czarnym welonie, takim gęstym, że zupełnie nie widać było twarzy.

— To księżniczka! — szepnęła Madzia. — Niewolno jej pokazywać twarzy. Czytałam o niej w książce.

— A mnie się zdaje, że to nowe służące — zauważyła Bessy. — Ciągle się zmieniają i ciągle przyjeżdżają nowe, bo im pewno się nudzi bez państwa. Mama mówi, że nie dziwi im się wcale. Mamaby tam nie chciała mieszkać za nic w świecie.

— Ach, jakbym chciała dostać się do Parku! — zawołała Madzia, podnosząc ramiona.

— Tego, moja panienko, nawet nie próbuj nigdy — rzekł pan Timin poważnie, odwróciwszy się z kozła i patrząc Madzi w oczy. — Nie-wol-no! — dodał z przyciskiem. — Niewolno. Tej jednej rzeczy ci niewolno, dopóki będziesz u nas. Postaramy się, żeby ci było dobrze, i zrobimy, co możemy, żebyś była zdrowa. Będziesz miała dużo mleka, jajka, masło. Możesz sobie biegać, gdzie ci się podoba, bawić się i zrywać kwiaty. Ale do Parku wchodzić nikomu niewolno. Jest znak i napis wszędzie: „Przejście wzbronione". A zresztą przez mur przecie nie przeskoczysz. Basta!

Bob i Bessy roześmieli się wesoło z takiego zakończenia mowy.

— Nie będziesz miała czasu nawet myśleć o Parku — powiedział Bob — tyle rzeczy mamy ci do pokazania. Co to znaczy dwa tygodnie? Nie zdążysz wszystkiego obejrzeć.

— W mieście to bardzo długo — zauważyła Madzia.

Tymczasem już wjechali na szczyt wzgórza, zakręcili i skierowali konika kawałkiem bocznej drogi przed niewielką chatę, otoczoną wiejskiemi budynkami. Po podwórzu przechadzały się kury i kaczki, z za ogrodzenia krowy spojrzały poważnie, jakieś ptaszki zaświergotały na drzewach, jakby witały Madzię, czy opowiadały o przybyciu nowego gościa, a z sieni wyszła czysto ubrana kobieta i z dobrym uśmiechem zbliżyła się do wózka.

— Cóż tak późno? — spytała męża. — Jak się masz, Madziu. Idź prędziutko z Bessy i umyj się. Musisz być, biedne dziecko, zmęczone i głodne. Więc spieszcie się. Bessy, zaprowadź ją do waszego pokoiku, jest tam ciepła woda i mydło i ręcznik. Raz, dwa, trzy! i wracajcie. Czekają na was kluseczki na mleku i świeży placek. Tylko żywo, dzieci.

Madzia wyciągnęła ręce i uściskała dobrą gospodynię, która po macierzyńsku ucałowała ją w głowę.

Potem pobiegła z Bessy po schodach na górę, do małego pokoiku, gdzie miały mieszkać we dwie.

— Ach, jak tu ślicznie! — zawołała Madzia, patrząc na czyste ściany i dwa łóżeczka, białą pościelą zasłane. — Ach, jak nam będzie dobrze, jak wesoło!

— I będziemy tak blisko! — powiedziała Bessy, ściskając ją serdecznie. — Opowiedz mi o wróżkach i o tych wszystkich czarach.

Madzia spojrzała na nią rozpromienionym wzrokiem.

O, dobrze! — zawołała. — Mam całą książkę z sobą! pokażę ci, jest w koszu. — Choć tutaj nie tak potrzebna jak w domu, bo tutaj jest świat z bajki, świat zaczarowany. Ja wiem! Dlatego wszystko jest piękne i czyste, a ludzie tacy dobrzy!

III. WRÓŻKA.

Było to nazajutrz po przybyciu Madzi do Zagórza.

Na obszernym tarasie białego pałacu, w wyplatanym fotelu, oparta na atłasowej różowej poduszce, siedziała młoda, przystojna dziewczyna, szczupła i blada, w długiej białej sukni z lekkiego muślinu, i obojętnym wzrokiem patrzyła na rozległy widok, roztaczający się przed jej oczyma. Ze wzgórza spływał ogród, zielony, kwiecisty i urozmaicony klombami drzew przeróżnych, kwietnikami, a tam w dali linja kolei żelaznej i ciemny łańcuch wagonów, pełznący ku stacji, jak długa liszka.

Młoda dziewczyna patrzyła na drogę, na przesuwające się zwolna wagony, obojętnie, bezmyślnie, jakby ich nie widziała. Patrzyła, bo przesuwały się przed nią, ale cóż ją mogły obchodzić?

Od wielu lat już powtarzała sobie, że nic ją na tym świecie nie obchodzi.

Alegra Penfold miała lat dwadzieścia kilka, wielki majątek, a jednak była nieszczęśliwa, i wydawało jej się, że niema na świecie nieszczęśliwszej od niej kobiety. Przed dziesięciu laty utonął w podróży do Anglji jej narzeczony, którego bardzo kochała. — Z początku rozpaczała, chorowała, lecz nakoniec wszystko jej zobojętniało i nudziło ją wszystko. Uciekała od ludzi, nie lubiła zabaw i nie mogła dla siebie znaleźć towarzystwa, nadaremnie szukała w życiu przyjemności.

I teraz na jej twarzy malowało się znudzenie i jakiś cichy smutek. Na stoliku obok stał pyszny bukiet kwiatów, leżały książki i albumy, pudełko z cukierkami, ale chociaż siedziała tutaj od południa, nie dotknęła książki, nie zjadła ani jednego cukierka. Siedziała tak codziennie, z bezwładnie

opuszczonemi rękami, patrząc na dolinę obojętnym wzrokiem, z smutnym grymasem ust.

Na stopniach tarasu ukazała się druga kobieta, także biało ubrana, ze sztywnym kołnierzykiem, mankietami i białym czepeczkiem na włosach. To pielęgniarka i towarzyszka Alegry, troskliwa i przyzwyczajona do jej dziwactw. Niesie na srebrnej tacy kryształowe kubki, dzbanuszki, szklanki i z miłym uśmiechem stawia tę całą zastawę na stole.

— Zrobiłam pani sama doskonałej, zimnej limoniady z lodem. Powinna dziś smakować. Tak gorąco. Proszę, niech pani skosztuje.

Alegra obojętnie spojrzała na tacę i jej śliczną zastawę.

— Dziękuję ci, miss Migs — odpowiedziała znudzonym głosem. — Pić mi się nie chce. Nie czuję gorąca.

— Może pani poczytać głośno?

— O, nie! To mię nudzi. Wszystko mię nudzi na świecie.

— Słyszę to zawsze — rzekła pani Migs z uśmiechem — lecz ciągle mam nadzieję, że to się zmienić musi. To są resztki choroby, które powinny ustąpić. Rodzicom się zdawało, że górskie powietrze i ta śliczna, malownicza okolica powinny mieć dobry wpływ na zdrowie pani, miss Alegro. Co do mnie, jestem zdania, że człowiek musi żyć pomiędzy ludźmi.

— Nie znoszę ludzi! — rzekła miss Alegra żywiej. — Nudni, straszliwie nudni.

— Ale bezczynność też musi być nudna. Cóż tu pani znajdzie dla siebie w tej pustce?

— Nic nie znajdę, bo niczego już nie pragnę, lecz wolę być tu sama. Myślę tylko, że niema istotnie potrzeby więzić tu pani dłużej. Nie jestem przecie chora i zupełnie nie

rozumiem, dlaczego tak rodzicom zależało, żeby pani była tu ze mną.

— Sądzę, że chcieli, aby oprócz służby miała pani jeszcze inne towarzystwo i trochę życzliwości koło siebie — przemówiła miss Migs łagodnie.

Alegra obojętnie poruszyła ręką i skrzywiła usteczka

— Jestem dorosła i zupełnie zdrowa, wolałabym nie więzić przy sobie nikogo.

Miss Migs przygryzła usta.

— Nie chcę narzucać pani swego towarzystwa, miss Alegro — rzekła nieco urażona. — Spełniam tylko wolę rodziców.

— I ja także — odpowiedziała Alegra. — Są o mnie spokojniejsi, kiedy jestem z panią, więc niechże już tak będzie. Przecież to wszystko jedno.

Miss Migs oparła się o balustradę i patrzyła na drogę. — Gdybyś była biedną dziewczyną — myślała — i musiała pracować nietylko na siebie, zapomniałabyś dawno o swoich nieszczęściach, jak tysiąc innych dziewcząt zapomina. Twoja choroba w tem, że nic nie robisz.

Alegra obojętnie rzuciła okiem na zegarek, leżący przy niej na stoliku, i odezwała się znowu.

— Wpół do piątej. Pociąg się spóźnił. Choć — czyż to nie wszystko jedno?

— Nie dla wszystkich — spokojnie rzekła pielęgniarka, patrząc na smugę dymu, ciągnącą się wzdłuż drogi. — Tam w pociągu niejeden może liczy sekundy tej długiej podróży, z biciem serca czekając końca drogi. Każdy w tych wagonach czuje, pragnie, myśli, a ilu cierpi, może więcej od nas...

— Chcę być sama, miss Migs — przerwała Alegra, którą zmęczyła, czy podrażniła ta rozmowa. — Proszę, nie

troszcz się o mnie do obiadu. Niech Jim nakryje tutaj, będzie chłodniej.

— Spełnię rozkaz — rzekła spokojnie, oddalając się pielęgniarka.

Szła aleją wzburzona, z podniesioną głową, i walczyła z sobą.

— Nie wytrzymam dłużej — mówiła do siebie. — Osiem lat jestem przy niej i zawsze to samo. Grymaśna, samolubna dziewczyna. Nic z niej nie będzie, bo serca w niej niema. Myśli tylko o sobie. Czy warto dla niej tyle znosić?

Przez całą godzinę siedziała Alegra nieruchoma, z okiem zwróconem w dolinę, na zielone pagórki, jaśniejące w blasku słonecznym. Ale ich nie widziała. Nieporównany cud piękności świata nie istniał dla niej, nie mógł jej pocieszyć, gdyż sobą tylko była zajęta wyłącznie, siebie kochała, o sobie myślała i nic poza tem jej nie obchodziło.

Od tarasu ciągnęła się piękna aleja pomiędzy kwietnikami, z których płynął rozkoszny zapach. Po obu stronach wabiły spojrzenie pyszne rododendrony i marmurowe wazy, pełne różnobarwnych kwiatów. Dalej grunt spadał lekko tarasami aż do wspaniałej klonowej alei, która zdawała się otchłanią cienia.

Zwolna, migając w słońcu, przyleciał na taras śliczny motyl błękitny, nakrapiany złotem. Spoczął na bukiecie, który stał na stole, krążył przez chwilę nad głową Alegry, aż usiadł na jej ręce, spuszczonej bezwładnie. Przez chwilę odpoczywał, poruszając skrzydełkami, które wyglądały niby dwa leciuchne, cudne wachlarze. Odleciał na chwilę i powrócił znowu, jakby zwabiony białą postacią Alegry. Odlatywał i wracał kilkakrotnie.

Alegra obojętnie patrzyła na niego z początku, potem z pewnem zajęciem zaczęła śledzić jego ruchy, jakby zacie-

kawiona, gdziez kolei spocznie. Był tak piękny. Zauważyła wreszcie, że nie widziała nigdy podobnego. Prawdziwy poseł z nieba.

Nakoniec wzniósł się wysoko nad jej głową, okrążył ją trzykrotnie, ale zamiast powrócić do stolika, sfrunął w aleję, dalej, dalej, dalej.

Alegra mimowolnie szła za nim oczami. Leciał zwolna, przysiadał na rododendronach, po jednej i po drugiej stronie. Zatrzymywał się przy marmurowych wazach z kwiatami, jak gdyby wąchał i oglądał każdy.

Alegra pochyliła się bezwiednie, aby go lepiej widzieć. Pociągał ją jakimś szczególnym urokiem. Jego skrzydła zdawały się wabić ją ruchem, a nęcić cudną barwą. Było coś niewysłowienie miłego w ich błękicie.

Lecz motyl zniknął. Alegra podniosła się zwolna, przechyliła przez balustradę i uważnie, ciekawie szukała go oczyma. Zniknął w alei klonów, prowadzącej do niskiego ogrodu, zniknął w złoto-zielonym blasku słońca u jej wejścia.

Alegra powróciła do stolika, prawie bezwiednym ruchem wzięła w rękę pudełko z cukierkami, i ciągnąc za sobą długą białą suknię, zeszła zwolna po białych marmurowych stopniach i szła między kwiatami do alei klonów.

Droga była prześliczna. Aksamitna trawa o jedwabnym połysku pokrywała spadzistość wzgórza. Alegra minęła klonową aleję i znalazła się w niskim ogrodzie, olśniewającym blaskiem różnobarwnych kwiatów, które kąpały się w promieniach słońca.

W jednem miejscu była dość duża sadzawka o błękitnych brzegach z powodu miljona kwitnących nad nią cudnych niezapominajek. Na powierzchni wody otwierały pyszne kielichy białe i różowe lilje wodne.

W jednym końcu sadzawki urządzony był zegar słoneczny, otoczony kwitnącemi krzewami róż purpurowych.

Tu spostrzegła znowu motyla.

Zdawał się podziwiać róże i upajać ich wonią. Sam wyglądał jak klejnot drogocenny.

Gdy Alegra podeszła blisko i zatrzymała się przy nim, wzleciał nagle i frunął na boczną ścieżynę.

Nie wahając się, Alegra poszła za nim.

Była to wązka dróżka między żywopłotem, zielona, kręta, coraz węższa i prowadząca pod górę. Wkońcu stała się tylko wydeptaną ścieżką na pochyłości wzgórza, które niegdyś było pastwiskiem, nim pan Penfold je kupił i włączył do parku. Nie była ona wcale odpowiednią dla trzewiczków Alegry i jej długiej szaty, szła jednak za motylem, nie troszcząc się o to.

Nakoniec przez konary modrzewi i świerków ujrzała przeglądający biały mur, który oddzielał posiadłości Parku od drogi publicznej, a nieco dalej bramę między staremi dębami. Tu się ścieżka kończyła.

Pod murem, niedaleko była ławka, prosta ławeczka brzozowa. Alegra usiadła na niej, by odpocząć po dość długiej podróży.

W tej chwili motyl, który się kołysał tuż u jej stóp na trawie, wzbił się w górę i przefrunął na drugą stronę muru.

— Taki koniec wyprawy — pomyślała z gorzkim uśmiechem Alegra. Tak zwykle znika wszystko, co nas przez chwilę zachwyca!

Spojrzała na mur, potem opuściła głowę i pogrążyła się w smutnej zadumie.

Wtem usłyszała głosy dziecięce za murem. Widocznie dzieci przechodziły drogą.

— Madziu! Madziu! widzisz, jaki śliczny motyl? Ach, jaki śliczny! Przefrunął sobie przez mur bez kłopotu. Chciałabym także fruwać. A ty, Madziu?

— Ja zawsze chciałam fruwać! — Zawsze pragnęłam

bardzo — odezwał się głos drugi, dziwnie miły, dźwięczny, głęboki. Dziwny głos, pełen wyrazu. — Ale czy jesteś pewna, że to motyl? Pierwszy raz w życiu widzę takiego motyla. Na żadnym obrazku nigdy takiego nie było. Ten jest jak kawałek nieba. I wiesz, mnie się zdaje, że to nie jest motyl, tylko wysłaniec wróżki!

— Chodźcież, dziewczęta — zawołał głos chłopca. — Cóż będziecie tu stały? Nic ciekawego niema. To boczna brama. Jest ich nie wiem ile, ale to najbliższa od nas. No, chodźcie. Pokażemy Madzi gniazda drozdów.

— Zaczekaj — rzekła Madzia. Muszę się przekonać, czy to naprawdę motyl. W książce tak zawsze bywa. A może tam z tamtej strony dobra wróżka wysłała go do nas, żeby nam coś powiedział? Przecież to byłoby straszne, gdybyśmy poszli i nic nie wiedzieli! Pan Graham z pewnością teżby się przekonał. Mam z sobą mój talizman, zaczekajcie chwilę, przekonamy się wszyscy, czy się nic nie stanie.

Za murem uciszyło się zupełnie. Alegra z pewnem zajęciem słuchała naiwnego szczebiotu dzieci. Mimowolnie pragnęła wiedzieć, kto są one, a szczególniej dziewczynka z wdzięcznym głosem, tak dokładnie wtajemniczona w sprawy wróżek. Niegdyś Alegra także wierzyła we wróżki, i ta przeszłość tak żywo stanęła jej w myśli.

Wtem milczenie przerwały głosy dzieci. Dwie dziewczynki mówiły razem.

— Dobra, kochana wróżko, jeżeli tam jesteś i słyszysz nas, prosimy, daj znak jaki!

— Głupstwo! — zawołał chłopiec. — Nic do rzeczy! Chodźcie dziewczęta. Dosyć tej głupiej zabawy.

W sercu Alegry zbudziła się nagle przekora. Głos chłopca podrażnił jej uczucie dumy. Naiwna prośba dziewcząt nie wzruszyła jej wcale, lecz w tonie mowy chłopca

było poczucie wyższości i przewagi męskiej, które ją dziwnie dotknęło. Nie namyślając się prawie, co czyni, stanęła na palcach i przerzuciła przez mur pełną garść cukierków.

Chwila zdumienia, ciszy. Potem szalony wybuch gwałtownej radości. Chłopiec dzielił ją szczerze, z zupełnem uznaniem.

— O Bessy! dał się słyszeć znów głos Madzi. — Ona jest tutaj! Ach, ja wiedziałam zaraz, mówiłam wam przecie! I każdy może poznać: to cukierki wróżki. Czy kto z was widział takie?

— Nie — szepnęła Bessy. — Ludzie nie umieją takich robić. Takie śliczne i dobre.

— Dziękuję ci, droga wróżko! — zawołała Madzia. — Teraz wiem, że tu jesteś. Dziękuję ci bardzo! Chciałabym wiedzieć, czy to twoje ulubione miejsce. Daj nam znak jeszcze, czy cię tu kiedy spotkamy.

— Tak, daj znak jeszcze — powtórzyła Bessy.

— A tak! — zawołał chłopiec głosem niewyraźnym, jakby miał pełne usta. — Daj nam jeszcze, jeszcze!

Alegra stała z wyrazem wahania. Czy ma wziąć udział w tej zabawie? A czemu nie? Do czegóż ją to zobowiąże?

Wypróżniła pudełko i pełnemi garściami sypnęła słodki deszcz na głowy dzieci.

Krzyk radości zabrzmiał powtórnie za murem, i Alegra z goryczą znowu pomyślała, jak niewiele potrzeba do szczęścia w tym wieku.

— Przyjdziemy jutro! — zawołały dzieci.

— Może nam się pokażesz, dobra wróżko — mówił głos Madzi. — Do widzenia, kochana wróżko.

Alegra skrzywiła usta i wzruszyła lekko ramionami. Miała dość tej zabawki. Głosy dzieci oddalały się, ucichły wreszcie, a Alegra zawróciła także do pałacu.

Zwolna wstępowała na stopnie tarasu. Miss Migs wyszła naprzeciw niespokojna.

— Gdzież pani była, miss Alegro? — zapytała. — Nie mogłam pojąć, co się tutaj stało, gdy nie znalazłam pani.

— Zdaje mi się, że mi wolno spacerować po moim własnym ogrodzie — odparła Alegra sucho.

— Naturalnie — zapewniła pielęgniarka. — Bardzo się cieszę, że pani się przeszła, że pani miała chęć. To bardzo zdrowo. Szkoda tylko, że mi pani o tem nie powiedziała. Na drugi raz nie będę się już niepokoić.

— Drugi raz może nie pójdę — rzekła Alegra szorstko.

Usiadła na swojem miejscu, naprzeciw miss Migs, do milczącego jak zwykle obiadu, lecz mimowoli myślała o dzieciach, o tej dziwnej Madzi, która tak mocno wierzyła we wróżki i miała głos tak dźwięczny. I uśmiechnęła się na myśl, jaką rolę dziś odegrała.

Tak jak dawniej, w dzieciństwie.

IV. CZAROWNICA.

Nazajutrz — jaka szkoda! — deszcz od rana lał strumieniami, niepodobna myśleć o dalszej wyprawie. A tyle rzeczy chciały dziś pokazać Madzi. Na szczęście niedaleko domu jest stodoła, no, a gdzie jest stodoła, tam można nie troszczyć się o deszcz.

I na podwórku tyle rzeczy nowych. Madzia przecież nic nie widziała, nic nie zna! Nie widziała bydła w oborze, nie widziała, jak krowy doją, nie widziała nigdy małego cielątka! Ona nie widziała nawet świni z prosiętami. A kury, a kurczątka, indyki, perlice. Ona pierwszy raz widzi kaczki

i dziwi się i śmieje z ich chodu, głosu, sposobu jedzenia. Wszystko ją ogromnie bawi i zajmuje.

Bo wyobraźcie sobie, że ona nie widziała nigdy stogu siana! Nie łaziła po drabinie, nie wdrapywała się na dach, nie skakała z wysoka i nie fikała koziołków. Nie umiała wykopać w sianie dziury i schować się w niej tak dobrze, żeby cię napróżno szukali i deptali. No, teraz się nauczyła bardzo prędko, ale nie znała tego. Nie bawiła się nigdy w chowanego w stodole.

Więc w stodole dzień cały bawiły się dzieci rozkosznie, hałaśliwie, i nie zostało ani jednej dziurki, gdzieby Madzia na chwilę chociaż nie wsunęła małego noska. W kącie zobaczyła dziwne, ogromne maszyny, z zębami i długiemi nogami, jak pająki, inne z wielkiemi skrzydłami. Dzieci usiłowały jej objaśnić, do czego są przeznaczone, lecz ona nie wiedziała przecież, co to znaczy orać, bronować, albo jak się żnie zboże, kosi trawę.

— One są dobre do zabawy w smoka — powiedziała nakoniec. — Zupełnie podobne do smoka.

— Co to jest smok? — ciekawie zapytała Bessy.

— Smok to jest taki wielki i ogromny, zupełnie jak krokodyl, tylko jeszcze większy.

— Krokodyl? — powtórzył Bob zdziwiony. — A gdzież ty mogłaś widzieć krokodyla?

— Wyście nie widzieli!? — U nas jest akwarjum — zapewniała Madzia z poczuciem dumy, że może się pochwalić znajomością chociaż jednego zwierzęcia, nieznanego tym dzieciom. — Największy jest tak długi — tak długi, jak krowa. Tylko daleko większy. Cały pokryty twardemi łuskami, i wielka paszcza, pełna strasznych, ogromnych, ostrych zębów. Czasem zjada ludzi.

— Oh! — wstrząsnęła się Bessy — dobrze, że go tu niema. Jabym się bała.

— W mieście nikt się nie boi — zapewniała Madzia. — Jest zamknięty w swojej przegrodzie i nie może zjeść nikogo. Można koło niego chodzić i przypatrywać mu się i stać przy nim. Ale tu w górach to napewno smok być musi! Tego nie można złapać i zamknąć w przegrodzie. Oho! smok jest za mocny. Strasznie silny i wielki jak dwadzieścia krów! Dym i ogień bucha mu z paszczy i z oczu! Okropnie ryczy i chrzęści, kiedy przelatuje.

— To jak automobil? — zauważyła Bessy.

Madzia była zaskoczona porównaniem.

— Może — trochę — zaczęła po namyśle. — Ale on ma i skrzydła! Może fruwać, i nigdy niewiadomo, kiedy spadnie na głowę z góry. On zawsze strzeże zaklętej księżniczki w czarnej pieczarze w górach. A święty Jerzy go zabił i wyzwolił księżniczkę. I pan Graham także się nazywa Jerzy. I pan Graham także zabił niejednego smoka. Sam powiedział! Ja myślę, że pan Graham to jest święty Jerzy. To się pokaże z czasem. — Ale bawmy się w smoka! Ty Bob będziesz świętym Jerzym, a ja smokiem, dobrze?

— Ja nie wiem, czy będę umiał — rzekł Bob niepewnym głosem. — Ty bądź świętym Jerzym, Madziu.

Więc Madzia pokazała, jak się walczy ze smokiem, atakując z męską odwagą najstraszliwszą maszynę. Po uporczywej i zaciętej walce pokonała nareszcie smoka i wyzwoliła Bessy, zaklętą księżniczkę, która była — zdaje się — w wielkiem niebezpieczeństwie.

Bob patrzył z boku, podziwiał i śmiał się.

— Ty umiesz doskonale urządzać zabawę — pochwalił wreszcie Madzię.

— Bo kiedy się bawię, to ja sama wierzę, że to wszystko jest prawda — odpowiedziała Madzia, rozczerwieniona walką, z włosami w nieładzie, wspaniałym ruchem ocierając sianem swój miecz, zbroczony krwią smoka.

Rzeczywiście Madzia opowiadała tak żywo, tak przejmowała się tem, co mówiła, tak wierzyła zaraz we wszystko, że Bob i Bessy też zaczęli wierzyć. Bo to było przecudnie! Czasem przemawiała jak maleńkie dziecko, a czasem jak księżniczka z bajki. I nie mogli już teraz śmiać się z jej wróżek i czarów od czasu pierwszej wyprawy pod mur biały Parku. Dziś lało, a każdy przecież wie z pewnością, że w dni słotne wróżki się nie ukazują i nic nadzwyczajnego się nie dzieje. W taki dzień najlepiej bawić się w stodole.

Lecz nazajutrz było prześlicznie. To też kiedy Bessy spytała:

— W co się będziemy bawić? — Madzia miała gotową stanowczą odpowiedź.

— Chodźmy zobaczyć, czy nam się nie pokaże wróżka, która mieszka w Parku.

— O! — zawołał Bob niechętnie — nie jestem wcale ciekaw. Chodźmy lepiej do cukrowni, zobaczymy, jak robią cukier.

— Ja także chcę zobaczyć, jak się robi cukier w cukrowni — powiedziała z wahaniem Madzia — ale nie wiem, czy to grzecznie, żeby wróżka czekała na nas, skoro powiedziałyśmy, że przyjdziemy. Ja tam idę do bramy Parku.

— I ja też — rzekła Bessy przekonana. — Ty możesz nie iść, kiedy nie chcesz.

Bob przypomniał sobie cukierki. Nie chciał być pominięty przy podobnym „znaku", więc mruknął dość niechętnie.

— No, to chodźmy! — I pierwszy pobiegł z góry.

Biegli przez łąkę ścieżką za stodołą aż do gaiku klonów, których rosło tu bardzo wiele, ponieważ z ich soku wyrabiano cukier. Wreszcie ukazał im się mur wysoki, oddzielający świat zaczarowany, świat tajemniczy, od tego zwykłego, po którym codzień stąpały swobodnie.

Z błyszczącemi oczyma i rozplecionym warkoczem biegła Madzia po miękkim gruncie na wyścigi z wiejskiemi dziećmi. Czasem niewprawna nóżka trafiła na dołek i Madzia nagle padała jak długa, — lecz natychmiast zrywała się ze śmiechem. Bob i Bessy biegli, bo im te wyścigi sprawiały w tej chwili największą przyjemność, lecz Madzia myślała o tem, co ją czeka tam, u celu.

Nie przewidywała jednak, co ją spotka. Biegnąc ostatnia, usłyszała nagle głośny okrzyk radości Boba i ujrzała, jak rzucił się ku bramie z podniesionemi rękami. Bessy tuż za nim padła na kolana, wydając jakieś dziwne, radosne westchnienia. Zadyszana, w sekundę znalazła się przy nich i ujrzała oboje zachwycających się „znakiem", jaki został dany przez wróżkę.

— Co to? co to? — szeptała, nie mogąc tchu złapać.

— Coś się znowu zdarzyło! — odpowiedział Bob z zapałem. — To musi być wyborne! To jest dla nas!

— Naturalnie! — potwierdziła Bessy z przekonaniem, wyciągając chciwie rączki do owoców, ułożonych starannie w dużym, ładnym koszu. Były tam pomarańcze, banany, orzechy, figi, ananasy, daktyle, owoce nieznane wcale dzieciom wiejskim, widywane przez Madzię tylko na obrazkach lub za szybami sklepów.

— Jak dużo! jak wspaniale! — powtarzała Madzia. — Ale musi być chyba jakaś kartka? Ach, jest! — zawołała z najwyższą radością, spostrzegając kartkę o złoconych brzegach pośrodku smacznej piramidy.

— „Dla dziewczynki, która wierzy wróżkom" — przeczytała głośno.

— To dla ciebie, Madziu — rzekła, cofając się Bessy. — Ach, jakaś ty szczęśliwa! — To z pewnością przez ten talizman!

— Ledwo tu przejechała, już dostaje podarunki — za-

uważył Bob, z odcieniem zazdrości. — Całe życie tu jestem i nigdy mi się nic takiego nie zdarzyło.

— To dlatego, Bobie, że nie wierzyłeś we wróżki. Przecież tu napisane. Teraz wierzysz, nieprawdaż? A zresztą to dla nas wszystkich, nietylko dla mnie. Patrz, jest wszystkiego po trzy.

— Prawda — potwierdził Bob z westchnieniem ulgi i rozjaśnioną twarzą i natychmiast zapragnął skorzystać ze swego prawa własności. Bessy poszła także za jego przykładem i wkrótce wszystko troje siedzieli na ziemi, wysysając z rozkoszą słodkie pomarańcze, spoglądając na siebie, na koszyk, na bramę i ten mur nieprzeźroczysty, za którym się ukrywała tajemnica.

— Jakie cudowne drzewa muszą być w tym Parku! — zauważyła Bessy. — Takie owoce!

— Ach, jakbym chciała, żeby tu przyszła księżniczka! — rzekła Madzia z głębokiem westchnieniem. — Poproszę ją!

— Ach, nie! nie, Madziu! ja się tak strasznie boję — szepnęła Bessy.

Bob spoglądał z pod oka, ocierając usta rękawem.

— Trzeba jej podziękować! — rzekła Madzia. — A potem poproszę, żeby przyszła. Może nam dziś tylko obieca.

Madzia wstała, strzepnęła starannie sukienkę i z uroczystą minką zbliżyła się do bramy. Bob i Bessy podnieśli się także pospiesznie i stanęli, gotowi do ucieczki.

— Dobra wróżko! — zaczęła Madzia słodkim głosem, usiłując przemawiać tak, jak w książce. — Dziękujemy ci bardzo, żeś dla nas taka dobra. Czy pozwolisz nam się zobaczyć?

Cofnęła się o parę kroków i patrzyła wyczekująco na bramę i mur biały. Bob i Bessy czekali także z niepokojem, lecz nic się nie zdarzyło.

— Ona jest niewidzialna! — rzekła Madzia z smutnem westchnieniem.

— O wróżko, dobra wróżko! — zaczęła po chwili, czule patrząc na białość muru — odpowiedz nam w jaki sposób, czy jesteś niewidzialną! Czy jesteś niewidzialną? Bo tak bardzo chciałabym cię zobaczyć!

Cisza. Milczenie. — Nagle z poza muru pada mały bukiecik kwiatów, jakich w Zagórzu nigdy nie widziano.

Madzia chwyta go w locie i wącha z uniesieniem.

— Jaki cudny! Ach, jak piękny! To „znak", że jest niewidzialna.

Bob i Bessy wyciągnęli długie szyje, oczy im wyszły na wierzch.

Madzia spuściła główkę i myślała.

— Wróżko — zaczęła znowu. — Dobra, kochana wróżko, jeśli już w żaden sposób nie możemy cię widzieć, to może pozwoliłabyś nam wejść do ogrodu i zobaczyć te wszystkie cuda, jakie tam być muszą. Ach, jak to miło zwiedzać kraj zaczarowany i zaklęte ogrody!

Twarze Boba i Bessy wyrażały przestrach i najwyższe zdumienie. Bo też prośba Madzi była niesłychanie zuchwałą. Nic dziwnego, że długo, bardzo długo — nie było odpowiedzi ani żadnego „znaku". Już i Madzia zaczęła myśleć, że była nadto śmiała wobec dobrej wróżki, kiedy tuż przed nią upadła na ziemię duża, śliczna, różowa lilja wodna, jakiej nigdy w życiu dzieci nie widziały.

— Cudowna! — szeptała Madzia w upojeniu. — Cudowna! Kwiat zaczarowany! A może czarodziejski? — Nigdy takiej nie widziałam, nawet na obrazku! Jakiż musi być ogród, gdzie takie kwiaty rosną! Ach! tu coś napisane!

Rzeczywiście na jednym płatku były znaki. Wpatrzyła się i przeczytała:

„Zobaczymy. Jutro o dziesiątej".

— O, będziemy! będziemy! — zawołała Madzia, podskakując z radości.

Bob i Bessy porwali koszyk i biegli do domu, Madzia z kwiatami spieszyła jak mogła. Wpadli do kuchni razem, zadyszani, i stawiając koszyk, zaczęli opowiadać na wyścigi, co się stało wczoraj i dzisiaj.

— Co o tem myślisz, matko? — zapytał pan Timin, kiedy wieczorem pozostał sam z żoną, a dzieci spać już poszły.

— Jak bajka — odpowiedziała pani Timin. — Dziwna dziewczyna ta Madzia. Ale jej się nic nie oprze.

— Owoce i kwiaty to są z parku — rzekł wieśniak z oranżerji. Ale chciałbym wiedzieć, kto jest owa wróżka.

— I ja także — potwierdziła pani Timin. — Niema w tem jednak nic złego i nie psujmy dzieciom zabawy. Niech użyją swobody, póki Madzia nie wyjedzie. Potem zapomną o wróżkach.

— Niech tak będzie, póki nie robią nic złego. Boję się tylko, że Madzia czy tak czy inaczej wprowadzi je do Parku. A przecież tam „przejście wzbronione".

Rankiem wstały dzieci nazajutrz i zawcześnie wybiegły z domu. Z niecierpliwością czekały dziesiątej i od kwadransa stały już przed bramą, gdy na wiejskim zegarze bić zaczęła zwolna pożądana godzina.

Wyprostowane, trochę zatrwożone, z biciem serca nasłuchiwały ostatniego uderzenia, pewne, że brama otworzy się nagle i coś się stanie. Lecz ostatnie uderzenie przebrzmiało zupełnie — i nic.

— Nic?! — szepnęła Madzia, i cień smutku przemknął po rozpromienionej przed chwilą twarzyczce. Nic się nie stało.

Ani jednego jabłka — rzekł Bob, rozglądając się po ziemi.

— No, to chodźmy do sadu, bawić się w chowankę — poradziła praktycznie Bessy.

— Ja zostanę — rzekła Madzia — i zaczekam.

To mówiąc usiadła przy drodze na trawie.

— Ja tam nie — zadecydował Bob stanowczo, wykręcając się na pięcie.

Bessy nie wiedziała, co zrobić.

Wtem za murem posłyszeli dziwny szelest, jakby kto szedł powoli.

Wszystkie oczy zwróciły się znowu na bramę i za chwilę ujrzeli na ścieżce staruszkę, przygarbioną, w długim, wlokącym się płaszczu i kapturze na głowie, która szła, lewą ręką opierając się na lasce, a w prawej niosąc kota, dużego, czarnego, z żółtemi, świecącemi się oczami. Twarzy jej nie mogli widzieć, gdyż zasłaniał ją kaptur, mocno zasunięty na czoło, i długie, siwe włosy, które z pod niego spływały.

Madzia i Bessy chwyciły się mocno za ręce.

— Wygląda, jak prawdziwa czarownica — cicho szepnęła Madzia. — Spojrzyj tylko na kota!

Madzia powiedziała te słowa cichutko, a jednak stara widać usłyszała.

— Wyglądam na czarownicę?—rzekła dosyć ostro. — Źle to, bardzo źle sądzić z pozoru! Bardzo źle, moje dzieci. A co wy tu robicie?

Bob i Bessy spojrzały z przestrachem na Madzię, ale Madzia zaczęła śmiało.

— My—my—my czekamy tu na kogoś. Ktoś nam kazał przyjść o dziesiątej, więc przyszłyśmy. Lecz dziesiąta wybiła i nikogo niema.

— Nikogo niema? — powtórzyła stara. — A więc ja

jestem nikt? Bardzo wam dziękuję! No, no, mądre dzieci: starzy dla nich to — nikt!

— Nie! — zawołała Madzia. — Ja wcale tak nie mówię! Pani jest ktoś, ja wiem, tylko — ale —

— I ja sądzę, że jestem ktoś — rzekła staruszka, długo i mocno wymawiając wyraz ostatni. — Szkoda wielka, żeście tego nie poznały. Choć takie mądre dzieci. Ale nie przyszłam tu rozmawiać z wami. Proszę mi powiedzieć zaraz, kto jesteście i czego chcecie?

Bob i Bessy nie myśleli odpowiadać, najchętniejby uciekli, lecz Madzia nie straciła jeszcze zupełnie odwagi.

— Myślałyśmy, że dobra wróżka pozwoli nam wejść do Parku — powiedziała. — Takbyśmy strasznie chciały zobaczyć te cudowne rzeczy!

— Hm! cudowne rzeczy! — mruknęła staruszka. — Mało to cudownych rzeczy macie koło siebie?

— Tak! — zawołała Madzia z uniesieniem, spoglądając dokoła pełnemi zachwytu oczami. — Cały świat jest cudowny, jak zaczarowany, — jeszcze dla mnie, co nie byłam nigdy na wsi. Wszystko, wszystko jest piękne! Ale jabym tak chciała poznać wróżkę, tę dobrą, tę kochaną! I te dzieci zaczęłyby ją też kochać.

Stara spojrzała kolejno na dzieci błyszczącemi oczyma z pod kaptura.

— O jakiej wróżce mówisz? — zapytała.

— Nie wiem, — ja jej nie znam — zapewniała Madzia. — A pani czy ją zna?

Staruszka cofnęła się, zaskoczona tem pytaniem.

— Niewolno pytać! — rzekła. — To należy do mnie. Ty, mała, powiedziałaś, żeś nigdy nie była na wsi. Jakże to się stać mogło? Opowiedz mi o sobie wszystko, tylko szczerze i bez wykrętów. Nie kłam, bo to się ze mną na nic nie zda, mogłabyś tego bardzo pożałować. A teraz mów.

Przy bramie była niska, darniowa ławeczka, stara usiadła na niej, opierając się na kiju i głaszcząc kota na kolanach. Kot żółtemi oczami uważnie i mądrze przypatrywał się dzieciom.

— Nigdy nie kłamię! — rzekła Madzia głośno, zarumieniona jak dojrzała wiśnia.

Bob i Bessy byliby już dawno uciekli, gdyby im nie było żal Madzi.

— To dobrze — rzekła stara. — Bardzo dobrze. Więc opowiadaj. Słucham.

Madzia spuściła głowę i skubała listki jakiegoś krzaczka, który wyrósł koło sztachet, lecz milczała.

— Nie bój się — przemówiła łagodniej staruszka. — Pamiętaj, że nie trzeba nigdy sądzić z pozoru. Ja chcę być dobrą dla was. I może wam pomogę dostać się tu, za tę furtkę, — zobaczymy. To będzie zależało od waszych odpowiedzi.

— O! — zawołała Madzia, podnosząc gwiaździste źrenice — paniby to zrobiła? Pani może? Pani pozwoli? Ach, jaka pani dobra!

Stara skinęła głową tajemniczo i podniosła palec do góry.

— Zobaczymy — zobaczymy! — nie wiem — nie wiem — powtarzała. — Powiedz mi przedewszystkiem, dlaczego tak chcecie wejść tutaj? Ja was już trochę znam: ty jesteś Madzia, ty Bob, a ty Bessy — wskazywała laseczką.

Dzieci zdumione cofnęły się o parę kroków. To już naprawdę czary! Skądże ona wiedzieć to może?

— Widzicie, że przedemną nic się nie ukryje. A teraz odpowiadaj: dlaczego wierzysz wróżkom?

— Dlaczego? — zaczęła Madzia. — Jakże powiem? — Wierzę im, bo są dobre, bo mi zsyłają szczęście.

Z pod kaptura błysnęły znowu siwe oczy, dziwne, jak gdyby także przestraszone, jakby ciekawe, a wszystko wie-

dzące, przenikliwe i dobre. Spotkały oczy Madzi i przez jedną chwilę nie mogły się rozerwać ich spojrzenia, jakby splecione tajemniczą siłą.

— Jakto zsyłają ci szczęście? — szepnęła staruszka. — Opowiedz.

— Ja nie umiem — zaczęła Madzia. — Czasem mi było źle. Już bardzo źle. Może to z mojej winy. Pan Graham też powiedział, że nie trzeba sądzić z pozoru. Pan Graham też powiedział, że nie trzeba sądzić z pozoru. Pan Graham nieszczęśliwa. A ja myślałam — mnie się zawsze zdaje, że ona jest jędza. I dlatego nie mogłam wytrzymać. Nie mogłam! Wtedy pan Graham opowiedział mi o wróżkach, opowiedział, jak zabił złego smoka, jak każdy może spotkać złego smoka. Tylko to bardzo, bardzo trudno poznać! Bo czasem nam się zdaje. Bardzo często. I pan Graham dał mi tę książkę. Wtedy ją przeczytałam. Umiem ją całą na pamięć. Tam wszystko jest! To już potem, kiedy mi było źle bardzo — książkę chowałam przed Tildą pod poduszkę — to już potem zaczęłam sobie wyobrażać, cobym chciała, żeby się stało. I jak zamknęłam oczy, to widziałam się w innym kraju, w zaczarowanym kraju, gdzie wszystko takie piękne, wszyscy dobrzy, i gdzie mieszkają wróżki. Ach, jak chciałam być w takim kraju! Wtem przychodzi pan Graham i powiada, że pojadę daleko, na wieś, za lasy i za góry, do Zagórza! No, i pojechałam! Jestem tutaj i widzę to wszystko, bo pan Jerzy jest święty Jerzy, chociaż nazywa się Graham. Wróżki są dobre i wszystko złe mogą zamienić na dobre.

— W czarodziejskiej baśni — szepnęła staruszka.

— Więc czyż mogę nie wierzyć wróżkom?

— A pan Graham? — Któż to jest?

— Pan Graham jest w przytułku i opowiada takie prześliczne historje! On naprawdę jest święty Jerzy. Sam po-

wiedział, że zabił smoka, nie-je-dne-go! Niejednego! A pan Graham nigdy nie kłamie! Pan Graham powiedział, że jak będę duża, to mogę też zabić smoka. I powiedział, że mnie nauczy. O, pan Graham jest mądry, wszystko wie i wszystko może. Wszystko może!

— Święty Jerzy — cicho szepnęła staruszka i pochyliła głowę.

— Więc kocham pana Jerzego i wróżki, bo teraz już nie będę nigdy nieszczęśliwa (żebym tylko zobaczyła chociaż raz tę wróżkę!). Nie będę nieszczęśliwa, choćbym wróciła do Tildy, bo widziałam ten cudny kraj zaczarowany i wiem, że jest naprawdę. A Bob i Bessy są moimi przyjaciółmi i będą do mnie pisywali listy. Nigdy jeszcze w życiu nie odbierałam listów i nigdy dotąd nie pisałam.

— I będzie do nas co rok przyjeżdżała w lecie, tak ojciec powiedział — odezwał się Bob ośmielony.

— A mama mówi, że nie wie, jak się bez niej obejdziemy — dodała Bessy — bo tylko dwa tygodnie będzie u nas!

— Dobrze — rzekła staruszka — a teraz wy powiedzcie co o sobie. Dlaczego tak pragniecie wejść do Parku, skoro to wzbronione? Umiecie przecież czytać?

Bob i Bessy spuścili głowy.

— To moja wina! — zawołała Madzia. — Ja tak strasznie chciałabym tam wejść, więc i oni! Oni mieszkali tutaj całe życie i nawet o tem nie myśleli. Oni nawet nie wiedzieli nic o wróżkach, dopóki tu nie przyjechałam. Ale są tacy dobrzy i bawimy się razem. Więc i oni chcą tego, co mnie się podoba. Dlatego wszystko troje chcemy wejść do Parku — strasznie!

— Hm! — mruknęła staruszka — po co?

— Chcielibyśmy zobaczyć wszystkie śliczne rzeczy — pałac wróżki — i wróżkę — i zaklętą księżniczkę — jeśli można.

— Nie można — rzekła staruszka porywczo.

— Nie można! — Madzia westchnęła głęboko. — Jest zaczarowana? — ośmieliła się zapytać mimowoli.

— T-t-ak — odparła stara po chwili wahania.

— No, to może moglibyśmy ją wyzwolić? — zawołała Madzia gorąco. — Przecież zaczarowaną księżniczkę zawsze wyzwala dziecko albo książę.

— Tss! — syknęła ostro staruszka.

Madzia drgnęła i pospieszyła zmienić temat.

— A jak jest zaczarowana? — zapytała. — Czy bardzo zmieniona? Czy w postaci zwierzęcia? To okropne!

— Tak — zmieniona! — szepnęła stara. — Sama siebie poznać nie może. Była najszczęśliwszą w świecie, a dziś jest najnędzniejszą!

— Boże! — szepnęła Madzia z wyrazem wielkiego współczucia. — O, ja widziałam nieszczęśliwych ludzi! Ale my dzieci możemy ją przecież wyzwolić. Wiem napewno! I mam talizman! I pan Jerzy.

— To niemożliwe — rzekła stara krótko. — Niema o czem mówić. Przyniosłam od niej znak, że chce być dla was dobrą.

Wyjęła z kieszeni trzy duże orzechy i podała każdemu z dzieci.

— Ach! — zawołała Madzia — wiem! To orzech czarodziejski!

I oglądała przedmiot wzrokiem zachwyconym.

Stara skinęła głową.

— Trzeba je otworzyć — rzekła.

— Już! — zawołała Madzia, której się to najpierw udało.

W każdym był mały pierścionek.

— Włóżcie je na czwarty palec lewej ręki. Tak, dobrze. Jutro przyjdźcie tu o dziesiątej — jeśli będzie pogoda—

staniecie przed bramą, obrócicie na palcu pierścionek trzy razy prawą ręką i powiecie:

„Dziś pogoda, słońce świeci,
Wpuść, furteczko, troje dzieci!"

— Trzeba przytem gorąco pragnąć, żeby brama się otworzyła. Musisz już wiedzieć, Madziu, jak wielką siłę ma pragnienie.

— O tak! — zawołała dziewczynka.

— A teraz spełnijcie dokładnie, co powiem, gdyż inaczej ani pierścionek, ani pragnienie wasze nie pomoże, i brama jutro zostanie zamknięta. Posłuszeństwo jest złotym kluczem.

— Zrobimy wszystko! — zawołała Madzia.

— Zamknijcie oczy i nie otwierajcie, aż Madzia policzy głośno do dwudziestu. Przedtem nawet mrugnąć niewolno. Pamiętajcie, że to próba posłuszeństwa.

Dzieci spełniły rozkaz bez wahania. Madzia liczyła głośno. Gdy zabrzmiało: dwiadzieścia, i podniosły szybko powieki, staruszki nie było nigdzie.

— To czarownica — rzekła Madzia z przekonaniem,— ale zdaje się, że zła nie jest.

— Nigdy jeszcze nie widziałem jej w Zagórzu — szepnął Bob z westchnieniem ulgi.

V. ŻYCZENIA.

Nie wyobrażajmy sobie jednak wcale, że Madzia się nudziła poza ogrodem wróżki, że w Zagórzu nic innego się nie działo. Działy się ciągle rzeczy nadzwyczajne, zajmu-

jące i cudne, coraz nowe odkrycia i zabawy, tyle zajęcia, że wciąż było mało czasu, i dzieci żałowały, że dzień taki krótki.

Bob i Bessy prowadziły ją do wszystkich ulubionych swoich miejsc zabawy; — zwiedzili cukrownię, gdzie pan Timin na wiosnę wyrabiał cukier z soku klonowego; — obchodziły dokoła łany zboża, po których w nocy — jak twierdziła Madzia — przelatywał ognisty potwór, sypiąc iskrami i buchając ogniem; — na pastwisku między skałami cudownie bawili się w okręt, płynąc po niezmierzonym oceanie do zaklętego państwa, gdzie złotopióry sokół strzegł żywego źródła i jabłoni o złotych jabłkach; Bessy jej pokazała wypróchniałe drzewo, gdzie był dom lalek; — Bob pokazał strumień na łące i miejsce, gdzie mieszka stary pstrąg, ogromnie stary, którego nikt nie może złowić, nawet Bob. Opowiadały Madzi wszystkie swoje tajemnice i dowiedziały się nawzajem jej sekretów, które były niezmiernie ciekawe. Więc cudowne były wszystkie dni i całe życie, bo wieś jest światem cudów, naprawdę krajem czarodziejskim.

Wśród zwykłych zabaw dzieci zapominały o wróżce i Parku, lecz kiedy się zbliżała godzina wyprawy, zapominały znów o wszystkiem innem.

Naturalnie, że przed dziesiątą znalazły się znowu u bramy zamkowej, kiedy nadszedł dzień upragniony. Madzia na czele, kierowała wszystkiem, złożyła już dowody swej umiejętności i niepospolitej odwagi, można jej było ufać. Na dany przez nią znak stanęli rzędem, mocno, mocno zakręcili swe pierścionki i powtarzali słowa, które im staruszka kazała zapamiętać.

Powtarzali je tyle razy dziś i wczoraj!

„Dziś pogoda, słońce świeci,
Wpuść, furteczko, troje dzieci!“

Ledwie zabrzmiały głośno zgodnym chórem, kiedy brama skrzypnęła na zawiasach i uchyliła się o tyle, że można było przejść.

— Wejdźcie — dał się słyszeć jakiś głos z za muru.

Dzieci się zawahały. Najgorętsze pragnienie staczało walkę z resztą nieśmiałości.

— Wejdźcie! — powtórzył głos rozkazująco.

Dzieci popchnęły Madzię. To jej dodało odwagi. Wspinając się na palce, przekroczyła bramę. Bob i Bessy postępowali tuż za nią.

Nagle przy sztachetach ujrzały staruszka, który zamykał wrota.

Teraz zbliżył się do nich.

Nie był bardzo wysoki, szczupły, w ciemnej sukni, długiej aż do ziemi, opasanej sznurem. Siwe i bujne włosy spadały mu aż na ramiona, siwa broda sięgała aż do piersi.

— Kto jesteście? — zapytał. — I skąd macie zaklęcie, które otwiera tę bramę? Czego tu chcecie i czego szukacie?

— Chcemy zobaczyć pałac wróżki — rzekła Madzia— i chcemy ją wybawić, jeśli można.

— Wróżki? — Staruszek wstrząsnął siwą głową. — Nie możecie jej widzieć. A gdzie jest pozwolenie na obejrzenie Parku? Macie znak?

Dzieci spojrzały na siebie zdziwione, ale Bob był najdomyślniejszy.

— To pewno te pierścionki! — szepnął. —

Staruszek skinął głową.

— Tylko pierścień czarodziejskiego orzecha pozwala wejść ludziom do królestwa wróżki — rzekł uroczyście. — Pokażcie mi swoje.

Trzy ręce wyciągnęły się szybko ku niemu, dotknął każdej i zbadał uważnie pierścionek.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — To znak. Chodźcie za mną.

Bob poskoczył naprzód, Bessy i Madzia ścisnęły się mocno za ręce.

— Jak w bajce — szepnęła Bessy, pochylając się Madzi do ucha.

Staruszek odwrócił głowę.

— Trzymajcie się mnie blisko, idźcie za mną — rzekł tajemniczo. — To kraj wróżki, zaczarowany, i może się każdemu przytrafić nieszczęście, kto nie jest zupełnie posłuszny.

Patrzył przytem na Boba, który spuścił oczy i cofnął się do dziewczynek.

Dzieci postępowały w milczeniu, z szeroko otwartemi oczyma i ustami, po ślicznych, krętych, wijących się ścieżkach, wśród kwiatów i zieleni, przez aleje klonów i innych drzew nieznanych, zachwycone, oczarowane przepychem i pięknością tego ogrodu.

Wreszcie się zatrzymali obok bijącej fontanny, dokoła której wieńcem kwitły barwne kwiaty, połyskując perłami rosy w blasku promieni słonecznych. Niektóre kładły się nisko na ziemi, niby kobierzec, tkany z klejnotów i pereł, inne, wyższe od dzieci, dumnie podnosiły głowy, zdawały się królować w tym przybytku.

— O! — zawołała Madzia — to jest czarodziejskie! Nic podobnego w życiu nie widziałam, bo nic takiego niema nawet w publicznym ogrodzie. To jest fontanna wróżek. Tu zapewne pływają w łódce z kwiatów. Ach, co za szczęście, że to zobaczyłam!

Staruszek, pochylony na swej lasce, patrzył na nią z pod oka z wyraźnem zajęciem. Wszystkie dzieci widocznie były zachwycone, lecz zachowanie Madzi świadczyło o nadzwyczajnem upojeniu. Jej zarumieniona, pełna wyrazu

twarzyczka promieniała nadziemskiem prawie szczęściem, zbliżała się do kwiatów na paluszkach i głaskała je delikatnie, pieszczotliwie, nieśmiało.

Zdaleka coś błysnęło i poruszyło się, niby bukiet pysznych kwiatów, który zbliżał się do nich. Ach, to ptak z cudownym, wielkim wachlarzem jak tęcza, która mu służy za ogon.

— Patrzcie! — zawołał Bob. — Nie widziałem, jak żyję, takiego indyka!

— Co to jest? — pytała Bessy. — On ma oczy w ogonie! Tyle oczu! Czy one widzą?

— To jest paw — rzekł staruszek. — Oto drugi. Patrzcie, trzy piórka upuściły dla was. Każde niech sobie weźmie na pamiątkę.

Sam się schylił i podniósł pióra, a następnie rozdał je dzieciom kolejno.

— Paw! — powtórzyła Madzia — oglądając swoje rozpromienionym wzrokiem. — Ja wiem o pawiach wszystko, chociaż żadnego nigdy nie widziałam. Wróżka ma zawsze pawie. Czy one ciągną srebrny wóz, na którym jedzie?

Starzec się uśmiechnął, lecz potrząsnął głową.

— Nie — rzekł — do wózka ma dwa białe kuce.

— Dwa białe kuce! — zawołał Bob, podskakując z wielkiej radości. — Czy mógłbym je zobaczyć?

Nie wiem. Może. Ale nie dzisiaj. Chodźcie za mną, musimy iść dalej.

Wśród radości i zachwytu szli zwolna przez aleje i szpalery, wzdłuż przecudnych kwietników, łąk i klombów.

Wtem pośród drzew spostrzegli marmurowe schody, prowadzące na dół, do dużej sadzawki, której nie widziały dotąd. Brzeg wysłany był cudnym kobiercem kwiatowym, tu i owdzie kępy drzew schylały lekkie, wiotkie gałęzie ku przejrzystej wodzie, białe lilje przeglądały w niej swoje kie-

lichy. Pośrodku widać było niewielką wysepkę, a po wodzie pływały trzy białe łabędzie, rozkładając śnieżyste skrzydła niby żagle i wyginając wdzięcznie długie szyje.

U stóp marmurowych schodów było przyczepione czółno, piękna, zielona łódka z ławeczkami, i dwa wiosła w żelaznych kółkach.

— Łódka! — zawołał Bob. — O, jakbym chciał tu popływać! Nie widziałem w Zagórzu łódki ani stawu.

— I wielu innych rzeczy nie widziałeś — odezwał się staruszek uroczyście. — Chodźcie za mną.

Zaczął zstępować po schodach ku wodzie, dzieci szły za nim, zasłaniając usta z wielkiego rozradowania. Pomógł im siąść do czółna, wskazał miejsca, potem wziął wiosła i odepchnął łódkę lekko i zręcznie na środek sadzawki.

Płynęli równo wśród prześlicznych brzegów, po przezroczystej wodzie, która migotała w słońcu. Łabędzie posuwały się lekko za nimi, wyciągając szyje i otwierając skrzydła.

Opłynęli wysepkę kilka razy wkoło. Bob miał wielką ochotę powiosłować trochę, ale nie śmiał o tem powiedzieć, Madzia i Bessy pluskały rączkami po wodzie i śmiały się co chwila przytłumionym śmiechem.

Nakoniec staruszek skierował czółno do wysepki i wylądował przy wielkim kamieniu. Zaczepił łódkę, pomógł dzieciom wysiąść, a sam odbił od brzegu z powrotem.

Trzy pary oczu spojrzały za nim niespokojnie.

Uśmiechnął się i skinął głową, spostrzegłszy przestrach dzieci.

— Przypłynę po was za godzinę. Tymczasem wszystko, co jest na tej wyspie, należy do was! — zawołał, odpływając szybko.

— Jesteśmy Robinzonami! — wykrzyknęła Madzia, klaszcząc w ręce i skacząc. — Jak to dobrze! — Pan Gra-

Łabędzie posuwały się lekko za czółnem.

ham nam opowiedział wszystko o Robinzonie. I on był sam na wyspie!

Bob już badał miejscowość, rozglądając się wkoło, wreszcie zniknął pośród zarośli i krzaków, a wkrótce potem z poza leśnego pagórka, który stanowił środek tej wysepki, dało się słyszeć jego radosne wołanie.

Chociaż wyspa była maleńka, dziewczynki nie mogły go widzieć, gdyż drzewa zasłaniały wszystko. Biegły zatem ścieżyną dookoła skały i wkrótce ujrzały powód radosnego wołania Boba. Biegał on, klaszcząc w ręce i podskakując, dokoła maleńkiego domku, jakby dla lalek, ale z prawdziwemi drzwiami i oknami, z kominem i werendą.

Bessy i Madzia rzuciły się naprzód, wydając dziwne głosy, które oznaczały szczęście i podziw nadzwyczajny.

— Ach, jaki śliczny, jaki śliczny domek!

— Kto też może w nim mieszkać?

— Obiad na stole! Chodźcie — skinął Bob z wesołym wyrazem twarzy, zajrzawszy przez okno.

Dziewczęta pchnęły drzwi. Cóż to za rozkosz!

Maleńki pokoik, jasny, a pośrodku stół i trzy krzesełka. Na stole trzy nakrycia i przewyborne śniadanie. Ciastka, limoniada, owoce, cukierki. Cudny widok i zapach, aż ślinka idzie do ust!

— Ja jestem bardzo głodny — odezwał się Bob pierwszy.

— Dla kogo to być może? — zapytała Bessy.

— Naturalnie, że dla nas! — zapewniła Madzia, wchodząc śmiało i siadając na krzesełku. — Przecież powiedział ten dobry staruszek, że wszystko dla nas, co jest na tej wyspie. To właśnie znaczyło — to! Tak jak w powieści o siedmiu karzełkach. Może w tym domku mieszkają karzełki? Tak mi się zdaje, bo jakby dla nich zbudowany.

Taki maleńki! Ach, jakbym chciała mieć taki domeczek! Jakbym chciała, żeby ten mój był!

Uczta nie trwała długo, chociaż była wystarczająca, aby głód zaspokoić. Załatwiły się dzieci prędko, nie marnując drogiego czasu. W pudełku od cukierków znalazły na dnie papier, na którym były wyrazy:

„Okruszyny dla łabędzi!"

— Dla łabędzi! — radośnie powtórzyła Madzia. — To łabędzie zaczarowane. Poznałam zaraz, bo są trzy, jak w bajce, nie boją się ludzi, są daleko większe od tamtych w ogrodzie publicznym i zupełnie inne mają zachowanie. One rozumieją wszystko, co się mówi. To trzy zaczarowane księżniczki! Z pewnością! Ach, biedne! Chodźmy, chodźmy je nakarmić.

Zgarnęły wszystkie okruszynki w puste pudełka i pobiegły co tchu do miejsca, gdzie wylądowali.

Łabędzie już czekały, najwidoczniej świadome wszystkich zwyczajów ludzkich. Na widok dzieci wyciągnęły szyje i bez obawy jadły im z ręki łakocie.

— Patrzcie! patrzcie! — wołała Bessy. — Co one mają na szyi?

Każdy łabędź rzeczywiście miał na szyi mały woreczek, zawieszony na wstążeczce. Jeden żółty, drugi niebieski, a trzeci czerwony.

— To dla każdego z nas — rzekł Bob zadowolony. i pierwszy bardzo zręcznie zdjął woreczek z szyi łabędzia.

Bessy udało się także dość dobrze, lecz trzeci łabędź był trochę mniej śmiały, i Madzia z pewnym trudem zdobyła wreszcie swoją cząstkę. Woreczki wydawały jakiś dźwięk metaliczny, jakby w nich były pieniądze.

— To pieniądze! — zawołał Bob wesoło.

Woreczki dały się łatwo otworzyć i z każdego wysypa-

ła się drobna moneta, nowiuteńka, srebrna, błyszcząca na słońcu. Dzieci zaczęły liczyć: każde miało dolara.

Żadne z nich nie posiadało dotąd takiej sumy.

— To jest cudowne miejsce! — zapewniała Bessy, kręcąc główką, że śmiejącemi się oczami. — A myśmy o tem wcale nie wiedzieli! — Prawda, Bob?

— Tak — potwierdził stanowczo Bob, dzwoniąc woreczkiem.

— A to najprzyjemniejsze, że nikt nie wie, co się stanie i co nas jeszcze spotka — dowodziła z zapałem Madzia.

Powrócili znowu do domku, gdzie mogli się teraz bawić wyśmienicie. Ale dziewczynki zaproponowały, żeby zrobić porządek. Więc zmywały z rozkoszą szklanki, talerzyki, obcierały czystą ściereczką, która była w kuchence obok miski z wodą, a następnie poustawiały naczynia na zgrabnej półeczce pod ścianą.

Koło okna spostrzegła Madzia drugą półkę, niby szafkę, gdzie leżało kilkanaście pięknych książek z obrazkami, wszystkie o wróżkach! I wszystkie dość zniszczone: widać, że czytano je po wiele razy. Madzia zdążyła tylko przeczytać tytuły: niektóre znała z opowiadań pana Grahama, lecz wszystkie były najpiękniejsze w świecie!

— To bibljoteka wróżki — powiedziała dzieciom. — Jestem pewna, że księżniczka przychodzi tu czytać! Ach, żeby teraz przyszła! Takbym chciała! Żebyśmy tylko mogli ją zobaczyć! O, jestem pewna, że mybyśmy ją wyzwolili i wrócili jej dawną postać! Jestem strasznie ciekawa, jak teraz wygląda. A może jest jednym z łabędzi?

W tejże chwili usłyszeli ostry świstek. Zerwali się i słuchali, co to znaczy. — Ktoś od strony sadzawki gwizdnął raz, drugi, trzeci.

— To na nas — rzekła Madzia. — Staruszek po nas płynie.

I pierwsza pobiegła ścieżką.

— Czy to już godzina? — zapytała Bessy. — Tak prędko! Chciałabym zostać tutaj dłużej.

— Musimy być posłuszne — rzekła Madzia. — Czy nie pamiętasz? Mogłoby się stać co złego.

Stanąwszy znów na miejscu wylądowania, zobaczyli staruszka, płynącego ku nim. Dobił z łódką do brzegu i pomógł dzieciom wejść do niej. Siedziały cichuteńko, z żalem patrząc na wysepkę, gdzie tak mile upłynęła im godzina. Staruszek patrzył na nie też w milczeniu, wreszcie odezwał się pierwszy.

— Jakże wam się Wyspa Karzełków podoba?

Madzia klasnęła w dłonie.

— Ja zaraz wiedziałam, że to Wyspa Karzełków! — zawołała. — Zaraz im powiedziałam! Ach, chciałabym tam mieszkać, w tym maleńkim domku, usługiwać karzełkom, i być z nimi zawsze, i czytać te wszystkie książki! I wtedy zobaczyłabym wróżkę już napewno i księżniczkę, i dowiedziałabym się, jak jest zaklęta, i wiem z pewnością, żebym ją wyratowała.

— Tam niema łóżek do spania — rzekła praktyczna Bessy. — I w nocy jabym się bała.

— Z karzełkami?!— zadziwiła się ogromnie Madzia.— Oni są tacy dobrzy!

— Jabym się nie bał — rzekł Bob. — Spałbym na ziemi, a ktoby chciał wejść w nocy, zarazbym go zabił.

— A mogłaby przyjść wróżka! — rzekła Madzia. — Wróżka mogłaby przypłynąć czółnem, bo ona tam z pewnością bywa. A może ją przynoszą tam łabędzie? Chciałabym strasznie widzieć, jak na łabędziu płynie! A wróżkibyś nie zabił, choćbyś chciał — zwróciła się do Boba. — Pan Graham tak powiedział. Wróżki nikt nie zabije. —

A może te łabędzie to są zaczarowane księżniczki? — spytała nagle staruszka.

Popatrzył na nią i potrząsnął głową.

— Nie wiem. — rzekł. — Może.

— A czy dziś zobaczymy wróżkę? — Jest taka dla nas dobra! Takbyśmy chcieli wybawić księżniczkę! Czy pan nas nie może zaprowadzić do niej?

Starzec znów potrząsnął głową.

— Nie możecie jej widzieć — rzekł stanowczo. — Ona nie chce się wam ukazać. Ale chodźcie, jeszcze coś wam dziś pokażę, nim wrócicie do domu.

Zatrzymał czółenko przy marmurowych schodach i zarzucił łańcuch na wysoki hak żelazny w marmurowym słupie, potem poszli razem wzdłuż brzegu. Szli prześliczną ścieżyną, podziwiając kwiaty i świeżą zieloność murawy, aż doszli do grabowego szpaleru, który ich zaprowadził do źródełka, wytryskającego ze skały.

Srebrne źródełko biło do góry i zaraz z lekkim szmerem spadało w piękny basen marmurowy, otoczony brzozami. Ponad źródełkiem rosło jakieś drzewo, a na niem czerwieniły się jagody. Obok na mchu zielonym był kubek perłowy, mieniący się barwami tęczy.

— To jest Źródło Szczęśliwych Życzeń — rzekł staruszek. — Przyprowadziłem was tutaj, żeby każde mogło wypowiedzieć jakieś życzenie, które zostanie spełnione. Nie zaraz, ale zwykle dosyć prędko. Nie spełniają się tylko życzenia złe i głupie.

— Ach — zawołała Madzia — ja chcę mieszkać w domku karzełków!

Staruszek potrząsnął głową.

— Zanadto się pospieszyłaś — rzekł łagodnie. — Trzeba najpierw napić się wody życzeń z perłowego kubka, dopiero wypowiedzieć głośno, czego pragniesz, a resztę wody

wylać na ofiarę wróżce u stóp drzewa z czerwonemi jagodami.

— No, zacznij, chłopcze — dodał, zwracając się najpierw do Boba.

Bob wziął kubek perłowy, zaczerpnął wody życzeń ze źródełka i pił ją wolno, myśląc o tem, co powiedzieć.

— Ja sobie życzę składanego noża — rzekł wreszcie — ale dużego, z dziesięciu rozmaitemi ostrzami, jaki ma Janek Daget.

— Nie zapomnij o wróżkach! — podpowiedziała Madzia.

Uśmiechnął się jakoś dziwnie, wylewając z kubka resztę wody pod drzewo.

Staruszek wskazał z kolei na Bessy.

— Ja życzę sobie lalki — rzekła tonem osoby, która obmyśliła wybór — żeby miała zęby i prawdziwe włosy, — dodała, podnosząc oczy na staruszka i wylewając z kubka resztę wody.

— Teraz na ciebie kolej — zwrócił się do Madzi i zatrzymał na niej ciekawe spojrzenie.

Madzia miała wyraz twarzy tajemniczy, a w oczach jej migały dziwne blaski. W milczeniu naczerpała wody ze źródełka, zwolna podniosła ją do ust i piła.

— Ja pragnę — rzekła głośno i wyraźnie — nic więcej nie chcę, tylko wybawić księżniczkę! — dokończyła prędko, i jak zwykle wylała dla wróżki obfity dar wody. Potem podniosła oczy na staruszka, jasne i tryumfujące.

— Teraz już muszę wyzwolić księżniczkę? — rzekła z uśmiechem szczęścia. — Wiedziałam, że się znajdzie jakiś sposób. Tak zawsze bywa, prawda? Ach, jaka będę szczęśliwa!

— Jesteś dobrą dziewczynką — rzekł staruszek zmienionym głosem i odchrząknął.

Nagle wśród ciszy tego cudownego miejsca rozległo się gwałtowne, dalekie szczekanie. Staruszek podniósł głowę i zdawał się być niespokojny. Szczekanie powtórzyło się bliżej i bliżej, wtem ogromny pies, w wielkich podskokach pędząc ku nim, ukazał się na łące, zdaleka wyszczerzając groźne zęby.

Była to straszna chwila. Madzia i Bessy chwyciły się mocno za ręce i stanęły za Bobem, który podniósł kamień i mężnie osłonił dziewczynki. Ale staruszek znalazł się przed dziećmi.

— Leżeć, Cezar, leżeć! — rozkazał stanowczo, dziwnie mocnym i śmiałym głosem, niepodobnym do tego, którym rozmawiał z dziećmi.

Pies zatrzymał się nagle, jak gdyby zdumiony, jak gdyby powstrzymany niewidzialną jakąś przeszkodą. Zawarczał i zaskomlał i zapiszczał, kurcząc się i przypadając do ziemi i pełzając u nóg staruszka pokornie. Nagle zaszczekał znowu głośno i radośnie, podniósł się na dwie nogi, oparł przednie łapy na piersiach starca i przyjaźnie podniósł pysk ku jego twarzy.

— Leżeć, Cezar, leżeć! — powtórzył staruszek jakimś szczególnym głosem, podniósł ręce i pogłaskał psa po głowie.

Cezar warknął radośnie i zapiszczał, machnął szybko językiem po rękach staruszka, i znów przypadł mu do nóg i spoglądał w oczy jakimś błagalnym wzrokiem.

Madzia pochyliła się Bessy do ucha.

— Czarodziej — wyszeptała. — Czy widziałeś? Zaczarował złego psa głosem, — rzucił na niego urok. Poskromił go siłą czarów.

Staruszek zdawał się tego nie słyszeć. Podniósł rozkazująco prawę rękę i przemówił do Cezara stanowczo, surowo i dobrotliwie zarazem.

— Nie rób krzywdy tym dzieciom, słyszysz? Bądź dla nich dobry, Cezar! No, przywitaj się!

Pies zdawał się rozumieć każde słowo. Obwąchał wszystkie dzieci po kolei, dotknął ręki Madzi swoim chłodnym nosem i popatrzył jej w oczy.

— Chodźcie — rzekł starzec, podnosząc z ziemi swoją laskę. — Czas już na was.

I wraz z Cezarem podążali znowu znaną już w części drogą do bramy na dole, która się przed niemi rano otworzyła.

Staruszek wziął do ręki wielki klucz żelazny, uwiązany u pasa, i przekręcił go w zamku.

— Do zobaczenia, dzieci — rzekł z miłem spojrzeniem. — Niech się spełnią wasze życzenia.

— A czy możemy przyjść tu jeszcze kiedy? — spytała Madzia, patrząc mu w oczy prosząco.

Staruszek zdawał się namyślać chwilę.

— Za dwa dni — rzekł nareszcie — jeżeli przyrzekacie być posłuszne.

— Będziemy! przyrzekamy! — zawołała trójka, uszczęśliwiona wesołą nadzieją.

Brama skrzypnęła, klucz zazgrzytał w zamku, staruszek zniknął natychmiast za murem, a dzieci stały jeszcze wciąż na drodze.

Bessy przemówiła pierwsza.

— Mnie się wydaje, że się obudziłam. A tamto — to był sen!

— I mnie także! — powtórzyła z przekonaniem Madzia. — Ale to nie był sen! — Takie śliczne rzeczy i to wszystko prawda. Prawdziwa prawda!

— Na wyścigi! — zawołał Bob i ruszył pierwszy, biegnąc, co sił starczyło.

Pomimo tylu nowych przyjemności, Madzia znalazła

czas na napisanie listu. Musiała przecież zawiadomić pana Grahama o wszystkiem, co się z nią działo. Pierwszy list był bardzo krótki, ale drugi — tyle musiał pomieścić! Poprawiała i przekreślała biedaczka, aż wkońcu trzeba go było przepisać. Ale też potem wyglądał porządnie. A zawierał tak ciekawe rzeczy, że pan Graham powinien się ucieszyć. Przeczytajmy go także:

„Drogi, kochany panie Graham.

Zagórze jest prześliczne i szczęśliwe. Wolę na wsi niż w mieście, bo jest daleko ładniej. Wieś jest ładniejsza nawet, niż sobie wyobrażałam. Tu są kwiaty, i trawa, i krowy, i owce, i góry, które wyglądają, jakby było zimno, chociaż jest naprawdę gorąco. I są maszyny, takie wielkie, z ogromnemi zębami, podobne do smoka. Ach, złoty panie Graham, tu są nawet wróżki! Bessy i ja wierzymy, że to prawdziwa wróżka, ale Bob mówi: Nie! Ale on się nie liczy, bo on przecież nic nie wie o wróżkach. Prawda? On życzył sobie składanego noża, a Bessy lalki z włosami i zębami. Ale ja powiedziałam, że chcę wybawić księżniczkę! I to się naprawdę spełni, bo to było u Źródła Życzeń. Ona jest zaczarowana, panie Graham, i nie możemy jej zobaczyć przez to. Była dawniej najszczęśliwszą na tym świecie, a teraz jest najsmutniejsza! Ach, jak strasznie musi być smutna! Musiał ją zakląć bardzo zły czarownik. Może to smok jest w Parku? Jak się tylko dowiem, zaraz do pana napiszę, a pan przyjedzie i zabije go, — prawda? Cóż smok poradzi, kiedy pan jest święty Jerzy, prawda? My mamy kluski z mlekiem na kolację i doskonałe jajka, które kury znoszą i starają się schować, ale ja zawsze znajduję. Bardzo mi żal kur, że nie mogą schować swo-

ich jajek. Straszniebym chciała pana zobaczyć, najdroższy, złoty panie Graham, bo panby mi wszystko powiedział. A może pan przyjedzie zobaczyć wieś i swoją kochającą — Madzię.

P. S. Jajka nie są na wieczerzę wtedy, jak kluski z mlekiem, tylko innego dnia".

Pan Graham śmiał się, czytając list Madzi, ale i łzy ocierał, zapewne ze śmiechu.

— Góry, kwiaty, kluski na mleku, wróżka, smok i świeże jaja — to są bardzo ciekawe rzeczy — rzekł do siebie — i możeby naprawdę warto zobaczyć je zbliska. Wróżkę — rzecz naturalna — Madzia musiała znaleźć, bo to przecie jej siostra. Zupełnie w to wierzę. Wierzę mocno, że może rzucić urok, lub zdjąć zaklęcie z zaczarowanej księżniczki. Ale jakąż księżniczkę tam sobie znalazła? Musi to być ktoś bardzo dla niej dobry.

— Kto wie, czy sobie nie zrobię wakacji. Dzieci przecież wyjadą, ochrony nie będzie. Zobaczyłbym kochane góry i pomógł mojej kochanej dziewczynce do rozwiązania zagadki z wróżkami.

VI. MŁODZI INDJANIE.

Dwa dni upłynęły, nim nadeszła chwila nowej wyprawy do Parku. Madzia i Bessy rozmawiały o niej wieczorami, gdy były same w swoim pokoiku, ale Bob byłby zapomniał zupełnie. Mimo wszystko, niewiele sobie robił ze stosunków z wróżką.

— Ciekawam, czy zobaczymy dziś staruszka — rzekła Madzia. — Bardzobym chciała. Taki był dla nas dobry!

— Pewno zobaczymy! — potwierdziła Bessy. — Któżby nas oprowadzał?

Nastawili zawczasu palce z pierścionkami i powtarzali sobie dla pamięci czarodziejskie wyrazy, które odwierały bramę.

Dziś pogoda, słońce świeci,
Wpuść, furteczko, troje dzieci!

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu gromadki brama była otwarta i nikogo z ludzi, tylko Cezar leżał u wejścia.

Widocznie czekał na nich i straż trzymał.

Na widok dzieci podniósł się poważnie, powitał je, kiwając życzliwie ogonem, i dotknął zimnym nosem ręki Madzi.

— Ma kartkę przy obróżce! — zawołała z radością dziewczynka.

Odwiązała wstążeczkę i przeczytała głośno:

„Zamknąć bramę. Strzała prowadzi. Posłuszeństwo".

— Strzała prowadzi? — Co to znaczy? — zapytała Bessy.

— Nie wiem — odparła Madzia, także zakłopotana.— Chyba tu jest gdzieś strzała. Poszukajmy. Musi się znaleźć. Tak zawsze bywa w czarodziejskich baśniach.

— To nie ma sensu — zdecydował Bob, mocno niezadowolony. — Dlaczego nie napisać poprostu? Tylko strata czasu. Czas to pieniądz — powtórzył zdanie, które słyszał i czytał w książce.

— Ale nie w kraju wróżek — żywo zaprzeczyła Madzia. — W kraju wróżek czas i pieniądz nic nie znaczy. Jest zawsze dosyć czasu i nic się nie mówi poprostu. To jest daleko przyjemniej.

— Zagórze nie jest przecież krajem wróżek — spierał się Bob. — W południe mamy obiad i trzeba się spieszyć.

Zaczęli się rozglądać dookoła, szukając owej strzały, ale daremnie. Nie była żadnej ani na ścieżce, ani na trawnikach. Cezar stał na boku i patrzył spokojnie, jakby dobrze rozumiał, o co idzie, i brał udział w zabawie.

— Jest!—zawołał Bob wreszcie, wskazując na drzewo.

W rogu trawnika, dosyć wysoko na drzewie przytwierdzona była istotnie duża, czerwona strzała.

Uradowane dzieci pobiegły natychmiast we wskazanym kierunku. Cezar szedł za niemi.

— Ciekawym, czy idziemy na śniadanie? — odezwał się Bob pytająco.

— O, z pewnością! — rzekła Bessy. — Prawda, jakie wyborne były ciastka?

— A może nas zaprowadzi do księżniczki? — zrobiła przypuszczenie Madzia. — To byłoby najprzyjemniejsze!

— Druga strzała! — radośnie zawołała Bessy, dumna ze swego odkrycia.

Strzała na białej brzozie wskazywała zmianę kierunku dotychczasowej drogi. Dzieci zwróciły się nagle na lewo i szły wąziuchną dróżką pośród niskich krzaków i wysokich paproci, aż wreszcie nowa strzała wskazała im klonowy lasek.

Tutaj musieli bardzo zważać na kierunek, gdyż nie było już żadnej ścieżki.

— Jesteśmy jak Indjanie w dziewiczej puszczy — rzekł Bob zadowolony, gdyż najlepiej lubił książki o Indjanach.— To jest bardzo wesoło! Chciałbym teraz spotkać tu prawdziwych Indjan!

— O, nie! — krzyknęła Bessy, — jeszczeby nas oskalpowali!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Bob z jej przestrachu. — W Zagórzu Indjan niema!

— Skąd możesz wiedzieć? — spierała się Bessy. — Mówiłeś, że tu niema wróżek, a przecież stało się już tyle dziwnych rzeczy.

Sucha gałązka spadła z drzewa z lekkim szelestem, Cezar stanął, podniósł nos w górę i wietrzył z badawczą, podejrzliwą miną.

— Zdaje mi się, że ciągle ktoś idzie za nami — szepnęła Madzia, oglądając się za siebie. — Ciągle słyszę od samej bramy. — Ale to nic nie szkodzi. Nie może nas spotkać nic złego w zaczarowanym kraju dobrej wróżki.

— To niemiło. Ja się boję — mówiła Bessy cichuteńko. — Wróćmy lepiej do domu.

— Nie możemy — rzekł Bob stanowczo. — Powiedzieliśmy przecież, że przyjdziemy.

— Tak — potwierdziła Madzia. — Obiecaliśmy posłuszeństwo.

— Tędy! Tutaj jest strzała! — zawołał Bob głośno i przedzierał się teraz przez najgęstsze krzaki wprost do szerszej drogi pomiędzy dębami.

— Ach, jak tu ładnie! — zawołała Madzia, zatrzymując się w miejscu, gdzie kilka ścieżek krzyżowało się i rozchodziło we wszystkie strony Parku.

Strzała wskazała teraz dość szeroką drogę. Zdaleka słychać było wyraźnie szmer wody, spływającej po skale.

Nagle między drzewami błysnęła woda strumienia.

Nowa strzała wskazuje drogę do strumienia.

— Jak tu ślicznie! ach, jak tu ślicznie! — zawołała Madzia.

Rzeczywiście był to przecudny zakątek. Woda spadała z dość wysokiej skały połyskującą i srebrzystą wstęgą i płynęła spieniona wśród mchów i paproci, tworząc wresz-

cie rodzaj niewielkiej sadzawki, zarosłej kępami trzciny, tataraku i wodnemi liljami.

Od sadzawki strumień płynął już cicho w miękkiem łożysku z żółtego piasku. Tu na drzegu pod sosną była kamienna ławka, a dalej — szary namiot, dopalające się przed nim ognisko i na trzech żerdziach zawieszony żelazny kociołek, w którym się coś gotowało, bo z pod przykrywki rozchodził się zapach ponętny i rozkoszny.

Dzieci stanęły w niemem zachwyceniu, Cezar pociągnął nosem i wydał głos, pełen przyjemnej nadziei.

— Zupa! — oznajmił Bob, który już zdołał zajrzeć do kociołka. — Smacznie pachnie.

— Indyjski obiad! — zawołały obie dziewczynki wesoło. — Będziemy się bawili w Indjan.

Bob zasiadł przy ognisku, Madzia i Bessy wsadziły noski do namiotu. Cóż za skarby!

Na rozłożonej skórze, zapewne z dzikiego zwierza, stały trzy kubki czy miseczki z tykwy i duża łyżka, którą można było czerpać zupę z kociołka. Oprócz tego był chleb, orzechy i jagody, zwykłe i ulubione pożywienie Indjan.

Co za obiad!

Kociołek postawiono w środku, a dzieci zasiadły wokoło na skórze, ze skrzyżowanemi po indyjsku nogami, i zajadały zupę tak wyborną, jak tylko można sobie wyobrazić.

Chleb, jagody, orzechy, wszystko zniknęło wkrótce, gdyż wszystko było dziwnie wyśmienite.

Teraz kobiety indyjskie zabrały się do mycia naczyń. Naturalnie w strumyku. Zdjęły więc przedewszystkiem trzewiki, pończochy i weszły w ciepłą wodę, brodząc po dnie piaszczystem i ogrzanem.

Wreszcie mycie skończone, trzeba się ubrać znowu.

Usiadły na piaszczystej górce przed namiotem, gdzie

wszystko tak po indyjsku wyglądało, naciągały pończochy i zawiązywały trzewiki.

— Mnie się zdaje, że dzisiaj czegoś się dowiemy o księżniczce — rzekła Madzia. — Może ją zobaczymy! Ale pewno jeszcze nie zaraz, bo —

Przerwała nagle, jej ogromne oczy zwróciły się w gęstwinę między drzewa, jak gdyby tam ujrzała coś nadzwyczajnego.

— Co tam jest? — szepnęła Bessy, chwytając ją za rękę i ściskając przerażona z całej siły.

Bob niespokojnie spojrzał poza siebie.

— Tss! — ostrzegała Madzia. — Coś tam widzę!

— Co? co? — Może Indjan? — płaczliwie, drżąc cała, dopytywała Bessy.

— Nie wiem — szeptała Madzia, wodząc oczyma za czemś, co się widać poruszało bardzo szybko. — Już niema! Co to być mogło?

— Jak wyglądało — dopytywali Bob i Bessy.

— Było podobne do ładnego chłopca w ciemnem i zielonem ubraniu. U kapelusza miał czerwone pióro. Twarzy nie mogłam widzieć, tylko długie włosy. Biegł tak prędko, tak prędko, jak gdyby miał skrzydła.

— Et! — zauważył Bob z niedowierzaniem. — Nic nie widziałaś, tylko ci się zdawało.

— Ja — zawołała Madzia, ale urwała nagle, gdyż Cezar, który gdzieś zniknął przed chwilą, wpadł w wielkich susach. Za obrożę miał wsunięty jakiś papier, którego oba końce spięte były czerwonem piórem.

— Czerwone pióro! — zawołała Madzia. — To samo, które chłopiec miał przy kapeluszu! Tu jest coś napisane.

Ostrożnie wysunęła kartkę i przeczytała głośno:

„Pod lewą ścianą namiotu".

Zamiast podpisu rysunek czerwonego pióra.

Bob, nie tracąc czasu, poskoczył zaraz do namiotu i znalazł z lewej strony przypięty do płótna kawał kory brzozowej, zwiniętej w rulonik.

Trzy głowy dzieci pochyliły się ciekawie nad tym indyjskim listem, odczytując z pewną trudnością dziwaczne i pokręcone litery, w ich przekonaniu zupełnie podobne do indyjskiego pisma.

„Jeżeli chcecie przygód, przejdźcie strumień po ułożonych kamieniach i podnieście biały kamień na przeciwnym brzegu".

Madzia klasnęła w dłonie.

— Chcemy, chcemy przygód! — zawołała głośno.— Teraz to już napewno idziemy do księżniczki!

— Ja wolę zostać — oznajmił Bob stanowczo. — Dał się jednak przekonać i poszedł z dziewczętami.

Wśród okrzyków trwogi i śmiechu przeszli dosyć szeroki strumień po kamieniach, poślizgując i chwiejąc się co chwila. W jednem miejscu Bessy zsunęła się noga i cały trzewik zanurzyła w wodzie. Krzyknęła przerażona, lecz ponieważ nie utonęła, mniejsza o takie głupstwo.

Na przeciwnym brzegu spostrzegły zaraz biały kamień, dosyć duży i gładki. Bob podniósł go ostrożnie, ale pod nim był znowu tylko kawałek kory z rysunkiem czerwonego pióra, a na nim napisane:

„Szukaj w wypróchniałem drzewie o 25 kroków od ławki".

Ławka stała opodal. Dzieci pobiegły do niej.

— Jaka pyszna zabawa! — zawołała Bessy.

Bob już odliczył 25 kroków, ale nie znalazł wcale wypróchniałego drzewa.

Oglądały się, szukały — napróżno.

— Trzeba jeszcze raz. Widać źle policzyliśmy — zrobił uwagę Bob.

— Przecież szukamy wszędzie.

— Może w drugą stronę — podsunęła Bessy.

Przyjęto projekt. Każde wybrało sobie teraz inny kierunek.

— Jest, jest! — krzyknęła Bessy. — Och, jakie ogromne! Człowiek mógłby się zmieścić!

— Może tu pokutuje zaklęta księżniczka — zauważyła Madzia.

Lecz nie było w drzewie księżniczki, tylko pudełko, a w niem nowa kartka ze znakiem czerwonego pióra.

„Szukaj pod paprocią, która rośnie koło najgrubszego drzewa, jakie stąd możesz widzieć".

— Pod paprocią? — Dość tego! Chcą, żebyśmy powarjowali! — zawołał gniewnie Bob. — Nie bawię się dłużej! Wracam do namiotu.

— Przecież to zajmujące! — tłumaczyła Madzia. — Szukać i ciągle szukać, aż znajdziemy! — No, patrzmy, gdzie tu jest najgrubsze drzewo?

Stanęła w otworze spróchniałego drzewa i spojrzała wokoło. Przestrzeń była otwarta, porosła krzakami i młodemi drzewkami, pośród których jedno tylko królowało, niby ojciec rodziny.

— Jak łatwo poznać! Chodźmy, chodźmy prędko! — I już biegła, a Bessy za nią. Na widok paproci padły na kolana i wtedy spostrzegły, że nie było Boba.

— Poszedł — rzekła Bessy zaniepokojona. — Co teraz będzie?

Spojrzały na siebie.

— Jak on śmiał! — rzekła Madzia. — Wróżki nie lubią tego. Ja wiem dobrze!

Wołały i krzyczały, ale nadaremnie.

— Chodźmy go szukać — powiedziała Bessy. — Trzeba go najpierw znaleźć.

Madzia się zastanowiła.

— Cezar go poszuka — zawołała nagle. — Cezar! Cezar! idź, szukaj Boba! Rozumiesz?

Cezar patrzył jej w oczy i zapiszczał, jakby chciał odpowiedzieć. Potem pochylił głowę i biegł widocznie za śladem.

Teraz dziewczynki pozostały same.

— Nic nie wiem, gdzie jesteśmy — rzekła Madzia. — Nigdzie nie mogłybyśmy trafić same. Dlatego napisane było: „Posłuszeństwo". No, zobaczymy, co jest tutaj pod paprocią.

Pod paprocią był rozkaz szukania pod różanym krzakiem, a krzak różany odesłał je znowu do ławki, gdzie miało być ukryte puste gniazdo ptasie. Gniazda nie mogły znaleźć bardzo długo, a wkońcu nowa kartka wskazywała na małą ścieżkę, wiodącą do groty.

— Do groty! — zawołała Bessy zachwycona. — O, toby się Bobowi podobało! Teraz chciałby być z nami. Ale może już zginął! Może nigdy go nie znajdziemy! — I zaczęła już płakać.

— Nie mógł zginąć zupełnie — uspakajała Madzia— ale powinien był słuchać. Teraz mamy iść do groty! Tam może być smok nawet! Ale może tam jest księżniczka.

— Moja droga, tam chyba nie może być smoka? — płaczliwie dopytywała się Bessy, pamiętając przerażające opowiadanie Madzi.

W tej chwili usłyszeli szelest wśród zarośli i trzeszczenie gałęzi poza niemi. Odwróciły się mocno przestraszone, trzymając się za ręce, lecz ujrzały tylko Cezara, a zaraz za nim Boba.

Bob miał twarz podrapaną i podarte suknie, a w oczach dziwny wyraz.

— Co ci się stało, Bobie? — zawołała Bessy, ujmując jego rękę ze współczuciem.

— Nic — odpowiedział krótko. — Cóż mi się stać miało? Tylko tu jest bardzo dziwnie i chciałbym poznać ten ogród naprawdę.

Westchnął i mimowoli spojrzał poza siebie.

— Coś ci się stać musiało — rzekła Madzia. — Powiedz. Może widziałeś smoka?

— Smok to głupstwo! — rzekł Bob stanowczo. — Widziałem chłopca. Tego, coś ty zobaczyła. O jej! tak szybko biega. I ma łuk i strzały i chciał do mnie strzelić. Więc uciekłem, a on mię gonił. Ale biega szybciej od ptaka! Wy nie możecie wiedzieć. Nie mogłem schować się przed nim. Wtem usłyszałem szczekanie Cezara, zawołałam go,—a chłopiec zniknął. Cezar mię tu przyprowadził. Całe polowanie indyjskie!

— To czary! — rzekła Madzia z tryumfującem spojrzeniem.

— Nie powinieneś był odchodzić od nas — upominała Bessy. — Mogło się stać coś strasznego. Czy nie wiesz, że musimy być posłuszni?

— Nic się nie stało — zapewniał już z całą odwagą.— Przyszedłem sam, bo chciałem. Chłopiec nie byłby mię zabił, bo niewolno. Ale wolałem wrócić tu z Cezarem, bo mi się wydawało, że widzę w tej stronie białe kuce. Muszę koniecznie zobaczyć te kuce. Staruszek mi obiecał.

— Powiedział: może! — poprawiła Madzia.

— Napewno ci nie pokaże, jeśli nie będziesz posłuszny — przypominała Bessy. — I my chcemy zobaczyć białe kuce, ale teraz musimy iść do groty.

— Do groty? — zawołał Bob. — Czemuż nie gadacie odrazu? — Więc chodźmy!

Wesoło ruszyli ścieżką, która prowadziła przez młody lasek do grupy skał, — wśród nich prędko spostrzegli grotę.

— Trzeba najpierw zobaczyć, czy tam niema smoka— radziła Bessy, popychając lekko ku wejściu Boba.

Bob odważnie stanął w otworze, ale nic widzieć nie mógł z powodu ciemności. Cezar też wietrzył, jakby badał wnętrze, nakoniec wszedł do środka.

Dzieci posuwały się za nim ostrożnie.

Były w grocie dosyć wysokiej i ciemnej, choć od wejścia wpadało trochę światła i rozpraszało mrok, tu panujący. Kiedy wzrok ich oswoił się wreszcie z ciemnością, rozejrzały się wkoło i zauważyły, że tu ktoś już musiał być przed niemi. Na środku leżał koszyk, a przy nim łopata.

— Tu może być skarb zakopany — zadecydował Bob.

— Tak, tak! — powtórzyła Madzia, klaszcząc w ręce. — Patrzcie, patrzcie na Cezara!

Pies wąchał grunt, a wkońcu zaczął kopać ziemię w najdalszym kącie groty. Ziemia była tu miękka, widocznie niedawno ruszona.

Bob wziął łopatę i skierował się do tego kąta.

— Daj mi! Daj mi! — prosiła Bessy, lecz nie zwracał na nią uwagi.

Zaczął kopać. Dziewczynki wstrzymywały oddech.

Wtem łopata oparła się o coś twardego. Bob podważył, lecz cofnął się i rzekł do Madzi, podając jej łopatę.

— Ty wyjmij. To już teraz bardzo łatwo. Będziesz miała przyjemność pierwsza zobaczyć, co tam jest.

Madzia z chciwością ujęła łopatę, ale zaraz zwróciła się do Bessy.

— Nie — rzekła — ona tak strasznieby chciała!

Tym sposobem Bessy wykopała pudło, prawie dwie stopy długie.

Trzy pary oczu ogarnęły je palącym wzrokiem. Jakże były ciekawe, co się w niem znajduje!

— Jak go teraz otworzyć? — odezwał się Bob pierwszy.

— Zawsze się rozbija — rzekła Madzia gorączkowo.— Ale czy ty potrafisz? Zdaje się, że jest mocne.

Jakiś szmer dał się słyszeć i czerwona strzała padła tuż u nóg Madzi. Podniosła ją i ujrzała przywiązany do niej mały kluczyk. Wysunęli natychmiast głowy z groty, żeby zobaczyć, skąd się strzała wzięła, — lecz nikogo nie było.

— To ten chłopiec — szepnęła Madzia.

Wsunęła klucz do zamka, obróciła i podniosła pokrywkę.

Choć było ciemno w grocie, zobaczyli zaraz, że w pudełku jest pełno najpiękniejszych rzeczy.

— Wynieśmy je na światło — zakomenderował Bob głosem wodza.

Wszystko troje ujęli ostrożnie pudełko i wynieśli przed grotę, gdzie świeciło słońce.

Teraz po jednym wyjmowali z pudła cudowne skarby, jakie się w niem znajdowały: zabawki, gry, wstążki, piłki, scyzoryki, książki, kieszonkowy mikroskop, wreszcie ogromną lalkę, z prawdziwemi włosami i zębami, zamykającą oczy, wspaniale ubraną, poprostu cudowną lalkę, i wielki nóż składany.

— To moje życzenie! — zawołał Bob, z radością biorąc go do ręki. Oglądał i podziwiał, otwierał wszystkie ostrza, wreszcie zadecydował, że lepszy, niż Janka.

— I moja też! — mówiła rozpromieniona Bessy, z czułością lecz ostrożnie oglądając lalkę.

Madzia spojrzała na jedno i drugie.

— Moje życzenie nie może być w pudełku — rzekła.

— Dla ciebie mogą być te wszystkie inne rzeczy — wspaniałomyślnie przemówiła Bessy.

— To wszystko powinno być twoje naprawdę — dodał Bob ze szczerością prawego człowieka.

— Nie chcę nic — rzekła Madzia. — Wcale nie chcę. Bo chcę, żeby spełniło się moje życzenie. Ja chcę koniecznie wybawić księżniczkę.

W tej chwili do groty wpadła druga strzała. Madzia podniosła ją szybko. Tym razem było napisane:

„Czas do domu. Kierujcie się węchem".

— Węchem? — powtórzył Bob. — Cóż to, jesteśmy psy? Pójdź tu, Cezar!

Ale Cezara nie było.

Wtem dziwnie miły zapach rozszedł się dokoła, jakby najcudniejszych kwiatów.

— Jak pachnie! — zawołali wszystko troje.

— Za tym zapachem musimy iść — rzekła Madzia. — Chodźcie! chodźcie! Posłuszeństwo! pamiętacie?

Trzeba było jednakże zabrać z sobą skarby. Lalka Bessy była tak duża, że nic już więcej dziewczynka udźwignąć nie mogła. WięcBob i Madzia podzielili resztę między siebie, i szli teraz poważnie, obciążeni wielką zdobyczą.

Tymczasem miły zapach już rozpłynął się w powietrzu i musieli uważnie badać kierunek nosem, aby odczuć go w jednej stronie.

Było to bardzo śmiesznie i wesoło tak szukać drogi nosem, mylili się nieraz, ale wreszcie doszli do znajomej bramy, przy której czuwał Cezar i powitał ich ruchem ogona.

— Jaki to mądry pies! — zauważyła Madzia. — Doprawdy, jak na psa, on jest za mądry.

Przystanęła na chwilę, złożyła na ziemi swoją część

skarbu, wyjęła coś z kieszeni, owinęła w papier, owiązała i przyczepiła Cezarowi do obroży.

— Co robisz, Madziu? — zapytała Bessy ciekawie.

— Coś posłałam księżniczce — rzekła zakłopotana. — Ona tak dobra dla nas. Cóż my jej dać możemy? Ja nic nie mam. Ale miałam coś takiego, co może jej się przydać. To był mały kamyczek w kształcie serca, z białą obwódką wkoło. Pan Graham mi go dał i powiedział, że to talizman, że mi przyniesie szczęście. Już tyle mi dał szczęścia, że go oddałam księżniczce. Ona daleko bardziej potrzebuje talizmanu. Może z jego pomocą zwycięży te straszne czary.

— Jeśli go oddasz, Madziu, to sama stracisz szczęście — zauważyła Bessy.

— Eh! — zaśmiał się Bob — nie wiem, kto jest taki dobry dla nas, ale to wiem napewno, że nie potrzebuje twojego talizmanu. Ma wszystko, czy jest tą tam twoją wróżką, czy nią nie jest!

— Ty nic nie wiesz! — zgromiła go surowo Madzia. — Czasem i najpotężniejszy czarownik potrzebuje pomocy. Nieraz najmniejsza rzecz może pomóc najmocniejszemu, jak ta myszka, co to lwa uratowała. Tak pan Graham powiedział.—Dlatego jej posłałam mój talizman! — Zanieś, Cezar, zanieś księżniczce!

— Hau! hau! — odpowiedział Cezar, jakby zrozumiał, i wielkiemi skokami pobiegł przez aleję. Wkrótce zniknął im z oczu.

Zamknęły za sobą bramę i poważanie szły ku domowi, uszczęśliwione wszystkiem, co się przytrafiło.

VII. „PRZEJŚCIE WZBRONIONE".

Tym razem dzieci nie zostały zaproszone. Nie przypuszczały jednak, aby to miało znaczyć, że brama dla nich na przyszłość zamknięta. Przeciwnie, uważały, że mając pierścionki, mogą zawsze korzystać z gościnności wróżki. Przecież ich nie odebrała?

To też nazajutrz rano pobiegły do Parku. Stanęły przed wrotami, pokręciły pierścionki prawą ręką i zaśpiewały chórem.

Dziś pogoda, słońce świeci,
Wpuść, furteczko, troje dzieci!

I nic. — Zaklęcie nie działa!

To je zdziwiło więcej niż największe dziwy. Tak przywykły w przeciągu dni ostatnich do rzeczy nadzwyczajnych, że właśnie naturalne wydawały im się niezwykłemi.

Zdarza się to nam wszystkim: ileż cudów otacza nas codziennie, a my ich nie podziwiamy, bośmy do nich przywykli.

To też Madzia, Bob i Bessy bardziej byli zdumieni, że się brama nie otworzyła, niż gdyby zobaczyli za nią wróżkę lub samego smoka. Dziesiąta uderzyła i nic! Ani znaku życia z tamtej strony tajemniczego muru.

— Zapukam — rzekła Madzia, zbliżając się do bramy na paluszkach.

Wyciągnęła rękę do młotka i w tej chwili spostrzegła ze zdziwieniem, że brama jest troszeczkę uchylona. Ale czy otworzyła się na ich zawołanie, czy może już tak była od początku?...

— Jak myślicie — spytała — czy możemy wejść bez zaproszenia?

— Naturalnie — rzekł Bob. — Trzeba tylko drzwi popchnąć, to wejdziemy.

Popchnął je z całej siły i otworzył.

Trochę przestraszone dzieci cofnęły się o parę kroków i czekały.

Nic się nie stało.

Wsunęły się do środka. — Nikogo nie widać. Nawet Cezara niema.

Widocznie ich nie oczekują.

— Chodźcie — rzekł Bob — ja idę. I wszedł pierwszy.

— Może się stać coś strasznego! — rzekła Madzia, a oczy jej błysnęły ciekawością i pożądaniem nadzwyczajnych przygód.

Obejrzała się wokoło. Gdzie mają się zwrócić? Trzy drogi rozchodziły się tutaj w trzy strony. Ta na lewo — wiedziały, — że jest do sadzawki, gdzie pływają łabędzie i jest domek karzełków. Ta w środku — to do groty. Trzecia na prawo — tu jeszcze nie były. Lecz kiedy odwróciły się w tę stronę, ujrzały w poprzek ścieżki jakby pajęczynę, z dwóch stron przymocowaną do drzew naprzeciw siebie. Na srebrnych nitkach widać było napis:

„Przejście wzbronione".

— Tam nie można — rzekła Madzia — więc którą drogę wybierzemy? Czy pójdziemy do sadzawki, czy do groty i namiotu indyjskiego?

Bob stał wciąż jeszcze przy dróżce z napisem.

— Ja pójdę tędy — rzekł. — To droga do białych kuców. Wiem napewno.

— Nie, nie, Bob! Nie można! — zawołała Bessy, chwytając go za kurtkę. — Madzia powiedziała, że coś okropnego mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy były nieposłuszne. Chodźmy już do łabędzi. Może popływamy łódką.

Bob uznał ten zamiar za godzien uwagi: miał ochotę wiosłować. Więc udali się wszyscy na lewo.

Idąc, poznawali raz przebytą drogę. Trafili do ogrodu, gdzie przechadzały się pawie. Ale dziś miały zsunięte ogony i nie chciały ich rozpostrzeć na żądanie dzieci.

Zbliżyły się do sadzawki, po której pływały łabędzie. Ujrzawszy dzieci, rozpostarły skrzydła i spieszyły po okruszynki, ale żadnych woreczków nie miały na szyi.

Widziały czółno przy drugim brzegu, przy wysepce, i patrzyły na nie z gorącem życzeniem, aby się przybliżyło. Ale to nic nie pomogło.

Byłoby także cudnie płynąć na łabędziach, lecz Bessy zauważyła praktycznie, że ptakiby ich nie uniosły. Madzia wprawdzie prosiła, aby przyciągnęły czółno, nie chciały jednak, czy nie mogły jej zrozumieć.

Chodzili więc czas jakiś po brzegu sadzawki, lecz to nie było tak bardzo wesoło. Kwietnik dzielił ścieżkę od wody, nie widzieli ryb pluskających, a było za głęboko, aby zdjąć obuwie i wejść, jak do strumienia.

Sadzawka sprawiła im rozczarowanie.

— To nudne — rzekła Bessy. — Chodźmy lepiej do namiotu i do groty. Tam z pewnością będzie weselej.

Odnaleźli drogę do bramy i skierowali się w drugą aleję.

Szli i szli wciąż przed siebie, ale nigdzie nie mogli trafić, nic tu nie było znane, wszystko obce, wkońcu wyszli na wielką łąkę czy polankę, zarośniętą paprocią.

— Tu jest tysiąc rzeczy ciekawych w tym Parku — zadecydował Bob, — lecz wielka szkoda, że nic nie możemy znaleźć.

— Tak! — zawołała Madzia. — Naturalnie! Tu są cudowne rzeczy! Ale ja najbardziej chciałabym zobaczyć księżniczkę i przekonać się, czy talizman już przyniósł jej szczęście.

— Ja chcę zobaczyć kuce. Wróćmy znów do bramy— wykrzyknął Bob i zaczął biec z powrotem.

— O Bob! Co ty chcesz zrobić? — zawołała Bessy, biegnąc za nim i usiłując go zatrzymać.

Lecz nie mogła dogonić brata. Bob nawet jej nie odpowiedział. Miał widocznie zamiar, który postanowił spełnić.

Wkrótce znaleźli się znowu u bramy i Bob zwrócił się zaraz na wzbronioną ścieżkę.

— Bob! — zawołała Madzia — tam nie można! Nie, nie! niewolno! Musimy być przecież posłuszne, bo spotka nas nieszczęście!

— A ja się nie boję. Idę i basta. ———

Nie rozerwał sieci pajęczej z napisem, tylko obszedł ją bokiem, przedzierając się przez krzaki i wkrótce — z niewielką szkodą rąk i kurtki — stanął za napisem na ścieżce. Zatrzymał się i skinął na dziewczęta.

— Chodźmy — szepnęła Bessy. — Ja idę, kiedy Bob idzie.

— Zobaczycie, że coś się stanie okropnego! — mówiła Madzia wahającym tonem. — Tak jest zawsze w książce o wróżkach.

— Eh! — roześmiał się Bob — to przecież nie jest w bajce. Znudziła mię już ta zabawa. Śmieję się z twojej wróżki. Idę zobaczyć kuce.

Bessy wzięła Madzię za rękę.

— Chodźmy — rzekła — kiedy on idzie. Musimy być wszyscy razem. Może tam jest księżniczka? Gdzieżby była?

To przekonało Madzię. Przestała się opierać. Zbyt wielka była pokusa.

Zapuściły się obie w krzaki i wypłynęły z nich wreszcie na ścieżkę.

Mimo całej odwagi serca im biły mocno, nawet Bob

zdawał sobie jasno sprawę, że wszedł na drogę niebezpieczną: „Przejście wzbronione!“

Ale tam muszą być kuce!

Ścieżka tu była rodzajem szpaleru między bardzo wysokim żywopłotem z jakichś kolących krzaków. Dzieci nic nie widziały, tylko kawałek nieba, i oglądały swoje podrapane ręce.

Wreszcie szpaler się skończył, znowu piękny ogród z kwiatami i sadzawką, na której kwitły tak olbrzymie lilje, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widziały.

— Patrzcie! — zawołał Bob, wskazując szeroką aleję, podnoszącą się stopniowo tarasami. — Tam jest dom.

Madzia podniosła chciwe, płonące źrenice, objęła niemi piękną, szeroką aleję, z wazonami przepysznych kwiatów z jednej i drugiej strony, a tam na końcu cudny biały pałac, ten sam, który widziała przez okno wagonu.

— Tutaj mieszka księżniczka! — szepnęła z rozkoszą. — Ach, jak pięknie!

Wszystko troje zwrócili spojrzenia na pałac, nawet Bob, najmniej wrażliwy na piękno, kiwał głową i robił miny, wyrażające zdumienie i podziw.

— Chodźmy bliżej — rzekł wreszcie, i zaczęli się zbliżać, aż stanęli na miejscu, skąd już zupełnie dobrze widać było przepiękny front pałacu, marmurowe schody i obszerny taras z palmami i festonami pnących się zielonych liści, ze stołem, dywanami i krzesłami, jak w pokoju. We drzwiach stała osoba w białej sukni i zdawało się, że coś mówiła do drugiej, która siedziała w głębi, pod palmą na szezlongu.

— Księżniczka! — szepnęła Madzia, powstrzymując oddech. — W swojej własnej postaci! Czy widzicie?—Ach, chciałabym przemówić do niej!

Wysunęła się zwolna z poza wielkiego wazonu kwia-

tów, który osłaniał ją dotąd, i postąpiła kilka kroków naprzód. Bob i Bessy tuż za nią.

Nagle przerażający, dziki krzyk rozległ się nad ich głowami.

— Na ratunek! Złodzieje! Zbójcy! Precz stąd! Precz stąd!

Dzieci drgnęły, zbladły i spojrzały na siebie przerażone.

— Na ratunek! Na pomoc! Złodzieje! Zbójcy! Precz stąd!

Głos był dziwny, okropny, niepodobny nawet do ludzkiego głosu, i, rozumie się, Madzi stanęły naraz w myśli wszystkie czary.

Wtem spostrzegli, kto krzyczy.

Na błyszczącej żerdzi, tuż obok wazonu z kwiatami, siedział prześliczny, wielki ptak, zielony i czerwony, bił skrzydłami ze złością i ochrypłym głosem powtarzał te straszne słowa.

Ptak mówił. Tak, ptak mówił! Widziały to na własne oczy. Inaczej Bob nigdyby temu nie uwierzył. Ale widział. O papugach wiejskie dzieci nie słyszały dotąd w Zagórzu, i nawet Madzia o tem nie wiedziała, że można je nauczyć wymawiać wyrazy.

To też wszystkie szeroko otworzyły usta i nie śmiały ruszyć się z miejsca.

— Zbójcy! Złodzieje! Precz stąd! — zaczął znowu ptak rozzłoszczony, lecz dzieci literalnie nie mogły się ruszyć, nogi im wrosły w ziemię, skamieniały.

Pierwszy Bob jakby otrząsnął się z czarów.

— Uciekajmy! — szepnął i cofnął się o parę kroków.

Bessy też odetchnęła i odstąpiła w tył, lecz Madzia była wahająca.

— A to co? Kto wszedł tutaj do ogrodu? — dał się sły-

szeć z przeciwnej strony gruby, chrapliwy głos człowieka.— Co to jest? Ha, czekajcie! Mam was, hultaje!

O parę kroków ujrzeli człowieka, grubego, okropnego, ze złą twarzą i groźnie patrzącemi na nich oczami. W jednej ręce miał widły, a drugą wyciągnął ku dzieciom i ryczał strasznie, niby wściekłe zwierzę.

— Ludożerca! — krzyknęła Madzia, i jak spłoszone ptaki wszystko troje rzuciło się gwałtownie do ucieczki.

Bob i Bessy nie obejrzeli się za siebie, aż nakoniec za bramą, którą zastali otwartą. Z tamtej strony dopiero odetchnęli i drżąc jeszcze ze strachu, spojrzeli dokoła.

Madzi nie było z nimi!

— Ludożerca ją porwał! — wyszeptała Bessy i załamała ręce. Właśnie wczoraj wieczorem dowiedziała się od Madzi strasznych rzeczy o ludożercy.

— Głupstwo ludożerca! — rzekł Bob. — To ogrodnik. Widziałem go już przecież. Podobno bardzo zły. Ale nie wiem, czy mógłby wybić Madzię?

— Cóż my teraz zrobimy? — zaczęła płakać Bessy. — Ach, mój Boże! To wszystko przez ciebie!

Bob zwiesił głowę i westchnął głęboko. Wiedział dobrze, że Bessy ma zupełną słuszność: on był winien wszystkiemu.

— Ja nie wiedziałem — zaczął.—Ja nie chciałem uciekać bez niej. Ja myślałem —

— Chodźmy prędko do domu! Trzeba opowiedzieć mamie.

— Ojciec mię zbije. To wiem — rzekł Bob ponuro.

Zapłakali oboje.

— Chodźmy — powiedział wreszcie. — Trzeba powiedzieć mamie.

Rzeczywiście nie widziały innego ratunku.

VIII. KARA.

Na widok okropnego ludożercy, który niewątpliwie był wrogiem księżniczki i sprawcą wszystkich jej nieszczęść, Madzia zupełnie straciła odwagę i uciekała za Bobem i Bessy, ile jej sił starczyło.

Ale na jakimś skręcie zniknęli jej z oczu, ludożerca gonił, ścieżki rozchodziły się w przeciwne strony, więc pomknęła w szpaler, zamknięty z obu stron krzakami, wyobrażając sobie, że to ten sam, który wprowadził ich tutaj.

Ale prędko się przekonała, że zbłądziła. Szpaler skręcał i wił się dziwnie, krzyżował z rozmaitemi dróżkami, nie wiedziała, którą z nich wybrać. Zdawało jej się, że krąży wciąż wkółko, a okropny głos ludożercy słyszała tuż, tuż, blisko, chociaż nie widziała go teraz.

— Gdzieś ty? Gdzieś ty? — powtarzał. — Czekajcie, łobuzy, dostaniecie się w moje ręce!

Nagle Madzia potknęła się o jakiś kamień i upadła jak długa. Stłukła mocno kolano i mimowolnie krzyknęła.

Ludożerca był po drugiej stronie żywopłotu i natychmiast usłyszał.

— Oho! — zawołał — jesteś! Wpadłaś w matnię! Dobrze! Nie wyjdziecie już z labiryntu, to daremnie! Możesz brzęczeć jak mucha w sieci! Ha, ha, ha! mam was przecie! — śmiał się okropnym głosem.

Madzia była tak przerażona, że prawie nie wiedziała już, co się z nią dzieje. Nie wiedziała, co to jest matnia, lecz czytała o labiryncie, z którego nikt się wydostać nie może, i zrozumiała dobrze, co znaczy mucha w sieci. Zerwała się i zaczęła znów uciekać, ale nigdzie nie było wyjścia, wciąż słyszała kroki ludożercy i jego śmiech okropny.

Znowu dwie drogi. Waha się przez chwilę, wreszcie

biegnie na lewo. Tu jest kawałek miejsca i ławeczka pod drzewem. Bez tchu prawie pada na ławkę, nie ma już zupełnie siły, tak jej słabo! jest chora.

Dokoła ten nieznośny, nieznośny żywopłot! Nic nie widać, lecz słyszy kroki, już wie, że nie ucieknie, jest w pułapce.

Już, już widzi czerwoną, straszną twarz ludożercy! Idzie do niej.

— A, jesteś tu! — woła, potrząsając groźnie widłami. — A gdzie tamtych dwoje? Tu był chłopiec! Tego pożarłbym najpierw! Gdzie on jest?

— Nie wiem — odpowiada Madzia. — O, niech mię pan nie zabija!

— Grr! — zgrzyta zębami potwór. — Cóż wy sobie myślicie? Czy to wolno? „Przejście wzbronione!“ To prywatna własność. Czy się nie uczyłaś czytać? Ha, złodzieje! przyszli kraść kwiaty, owoce, no, ja wam teraz sprawię!

— Ja nie jestem złodziejem! — zawołała Madzia, dotknięta tą zniewagą.

— Grr! — zobaczymy! Chodź ze mną. Tam cię nauczą rozumu!

Wziął ją za ramię mocno, aż ją zabolało, i pociągnął za sobą.

— Ja chciałam tylko zobaczyć księżniczkę — tłumaczyła się Madzia.

— Zobaczyć księżniczkę! Grr! Przyszłaś szpiegować do prywatnego ogrodu, przestraszyłaś papugę i wpadłaś w pułapkę. Bardzo dobrze! Zobaczymy, co każą z tobą zrobić.

Trzymał ją bardzo mocno i prowadził. On doskonale wiedział, jak wyjść z labiryntu! W kilka minut byli w ogrodzie i szli w stronę pałacu, gdzie siedziała papuga i znowu krzyczała: — Złodzieje!

— Weź ją, weź! — szydził potwór, podsuwając Madzię straszliwemu ptakowi. — Zjedz na śniadanie! Ha, ha, ha! „Przejście wzbronione", moja panno! Wyraźnie! wyraźnie!

— Złapana! Złapana! — krzyczała papuga. — Precz stąd! Precz! Rozbójniki!

Madzia spojrzała na nią z przerażeniem. Czyż ptak może mówić i wiedzieć o wszystkiem? To jest człowiek zaczarowany, pokutujący w tej postaci ptaka.

Stanęli przed marmurowemi schodami. Jakaś biała postać podniosła się z fotelu na werandzie i zniknęła w drzwiach w głębi. To napewno była księżniczka.

Ludożerca wciąż trzymał Madzię i stał przed schodami.

— Hm! hm! — odchrząknął głośno.

W tej samej prawie chwili na progu ukazała się młoda kobieta w białej sukni, sztywnym kołnierzyku i białym czepeczku na włosach. Zatrzymała się i patrzyła pytająco na potwora i Madzię.

— Złapałem ją w ogrodzie — zaczął ludożerca — była jeszcze druga dziewczyna i chłopiec, ale tamci uciekli. Ta się złapała w matnię! ha, ha, ha! — śmiał się złośliwie.

— Po coś tu przyszła? — spytała kobieta, zwracając się do Madzi.

— Ona mówi, że chciała zobaczyć księżniczkę, ha, ha, ha! — zaśmiał się znów ludożerca. — Nie wiem, co to ma znaczyć. Przyprowadziłem ją tutaj do pani, może pani zapyta, co z nią zrobić. Gdybym złapał chłopaka, tobym go upiekł i zjadł bez pytania.

Zaśmiał się, puścił Madzię, oparł widły na ramieniu i oddalił się niby, ale Madzia czuła, że czatuje na nią gdzieś blisko.

— Przyszłaś po kwiaty? — spytała kobieta poważnie,

choć łagodnie. — Czy ci nie wstyd wchodzić do cudzego ogrodu?

Madzia chciała zaprzeczyć z oburzeniem, ale w tej samej chwili dał się słyszeć z pokoju delikatny głos dzwonka.

— Zaczekaj tu, aż wrócę — powiedziała kobieta. — Nie próbój ucieczki, bo to się na nic nie zda. Złapie cię po raz drugi, możesz być tego pewna.

I wskazała ręką kierunek, gdzie oddalił się ludożerca.

Madzia, bezwładna prawie, upadła na schody i czekała, gotowa już na wszystko, co ją spotkać może.

Kobieta powróciła bardzo prędko.

— Chodź ze mną, dziecko — rzekła, prowadząc ją w głąb domu.

Pomimo całej trwogi Madzia widziała dobrze, że dom był bardzo piękny. Wielki, chłodny, przewiewny, wysłany kobiercami, z podłogą połyskującą jak lustro. Wszędzie kwiaty i kwiaty. Na ścianach obrazy i inne rzeczy, którym chciałaby się przyjrzeć, — ale nie było czasu.

W jadalnym pokoju zobaczyła stół nakryty, połyskujący od srebra, kryształu, barwny i pachnący od cudownych kwiatów.

Potem schody rozchodziły się w dwie strony. Jak to dziwnie! Pałac wróżki był inny, o, zupełnie inny, niż sobie wyobrażała, ale jeszcze piękniejszy, większy i dziwniejszy.

Biała pani weszła z nią wreszcie do pokoju, gdzie było pełno książek. Dokoła przy ścianach pełno książek w szafach, od sufitu aż do podłogi. Madzia nigdy w życiu tyle książek nie widziała, nawet w przytułku. I zaraz pomyślała że muszą być pomiędzy niemi cudne historje o wróżkach i smokach, których napewno nie zna.

W pokoju był stół, biurko, kilka krzeseł, a w jednym rogu wysoki parawan, z malowanemi, ślicznemi kwiatami i dziwnemi ptakami.

Kobieta przyprowadziła Madzię aż do parawanu.

Po chwili dał się stamtąd słyszeć głos.

— Może pani odejść. Proszę zamknąć drzwi za sobą.

Kobieta wyszła. Madzia pozostała sama przed parawanem, za którym był — głos.

Dość długo trwało zupełne milczenie.

— Nie staraj się mnie widzieć — odezwał się wreszcie głos znowu.

Ach! jaki miły głos! Madzi się zdawało, że go już słyszała, ale gdzie? chyba we śnie!

— Mam nadzieję, że teraz będziesz posłuszna?

Głos zabrzmiał już trochę surowiej.

— Ja nie chciałam być nieposłuszną — rzekła Madzia, dławiąc się łzami.

Uczuła się nagle tak zmęczoną, słabą, że chciałaby zapłakać głośno. Głowa ją bolała, ach, bolała bardzo.

— Nie wiedziałam, że to tak źle —

— Wchodzić tam, gdzie niewolno? — przerwał jej głos surowo. — Gdzie nie byłaś dziś zaproszona? Gdzie napisane wyraźnie: „Przejście wzbronione"? To była próba.

— Chciałam się przekonać. Zdawało mi się, że ci można ufać.

Madzia milczała. Łzy jej płynęły po twarzy. Nic nie mówiła na swoją obronę, bo cóż mogła powiedzieć?

Surowy głos odezwał się znowu po chwili.

— Przyjmowałaś rzeczy dobre i przyjemne, a nie umiałaś oprzeć się pokusie, nie umiałaś raz jeden pohamować ciekawości. — O, zawiodłaś mię, Madziu, bardzo mię zawiodłaś, więcej, niż ci mogę powiedzieć!...

— Nie wiedziałam — załkała Madzia. — Tak bardzo żałuję. —

— I czegoś tutaj chciała? — zaczął głos surowo. —

Złapano cię podobno przed pałacem, kiedy drażniłaś papugę. Mówią, żeś kradła kwiaty.

— O! — zawołała Madzia jakimś zdławionym głosem — ja nie kradnę!... Bob chciał zobaczyć kuce i Bessy chciała też zobaczyć kuce, a ja —

— A ty? — zapytał głos, skoro umilkła.

— Ja chciałam zobaczyć księżniczkę. Za trzy dni już wyjeżdżam.

— Nie wytrzymałaś próby, takiej uczciwej próby! Napisano: „Przejście wzbronione". Wchodzić do cudzego ogrodu, szpiegować. —

— Brama była otwarta — broniła się Madzia, choć kolana uginały się już pod nią.

— Tak, na próbę — powtórzył głos surowo. — Miałam nadzieję, że nie wejdziesz nieproszona. Dla dobrych, posłusznych dzieci tyle było na jutro przyjemności!

Madzia załkała głośno.

— Tem lepiej, że poznałam, kim jesteście — przemówił znów głos zimno. — Chodziło wam tylko o nową zabawę, o własne przyjemności, ale nie umiesz panować nad sobą, aby komuś zrobić przyjemność. A szkoda, Madziu Price. Inaczej myślałam o tobie. Taka jesteś, jak wszystkie i nic w tobie niema lepszego. Byle postawić na swojem! O to ci tylko chodzi. Nie tego się po tobie spodziewałam, nie, nie tego. Jakże mi przykro, że inaczej myślałam.

— Madzia stała w milczeniu, łzy płynęły jej po twarzy, obraz męki i rozpaczy. Gdyby właścicielka głosu mogła ją widzieć w tej chwili, nie przemawiałaby do niej tak surowo.

— Możesz iść — rzekła wreszcie bez żadnego odcienia dobroci. — Zawiodłam się na tobie, i nie chcę widzieć cię więcej. Za nieposłuszeństwo spotka cię tylko ta kara, że nigdy już nie wejdziesz do Parku. Możesz to powiedzieć towarzyszom swoim. Zabawa się skończyła.

Dzwonek zadźwięczał znowu i w tej samej chwili miss Migs stanęła we drzwiach.

— Proszę przeprowadzić dziecko głównem wejściem i najkrótszą drogą do bramy — rozkazał ten sam głos z poza parawanu. — Więcej nas niepokoić tu nie będzie.

Miss Migs wzięła Madzię za rękę i poprowadziła przez szereg pokoi, aż do głównego wejścia. Dziewczynka patrzyła wielkimi oczyma na te ogromne i wysokie sale, w których dwadzieścia rodzin pomieścić się mogło, nie przeszkadzając sobie. Chwilami ogarniała ją dziwna jakaś trwoga, dziwne uczucie, jakby w tym ogromie brakowało czegoś najpotrzebniejszego, i nie było się gdzie przytulić.

Zresztą wszystkie obrazy kręciły się przed jej oczami, nie wiedziała dobrze, gdzie idzie i co się dokoła niej dzieje.— Wyszła przez główne wejście między pięknemi kwiatami, potem jakąś aleją tak nieskończenie długą, że myślała, iż nigdy nie dojdzie do końca. A wreszcie brama.

Miss Migs puściła Madzię dopiero na drodze.

— Trafisz do domu, dziecko? — spytała łagodnie.

Madzia skinęła głową, wskazując tym ruchem na góry.

— Mieszkasz u Timinów? — spytała biała dama.— Bądź zdrowa, mała. Nie wracaj tu więcej. Tutaj nie lubią obcych, niema dla nich miejsca. Może to samolubnie, ale każdy ma prawo rządzić u siebie, jak mu się podoba. Mnie nic do tego. No, idź, dziecko, do domu. Wyglądasz tak, jak gdybyś była chora. Masz wypieki na twarzy, a oczy błyszczą jak w gorączce. Poproś tam, żeby zaraz położyli cię do łóżka.

Madzia w milczeniu poszła drogą ku domowi. Szła zwolna. Była tak strasznie zmęczona.

— Zdaje mi się, jak gdybym była zaczarowana — szepnęła do siebie, wchodząc na podwórze. — Ach, nie mam już talizmanu!

IX. SMOK POKONANY.

Pogodny, cudny ranek zajaśniał znowu nad Zagórzem. Po błękitnem, przejrzystem niebie płynęły trzy samotne białe chmurki, jak trzy zabłąkane łabędzie. Powietrze przesycone było wonią kwiatów, słodkie, aromatyczne i kojące. Nawet papuga miała lepszy humor i zamiast bić skrzydłami, grozić i wymyślać, śmiała się i wołała:

— Alegra! Alegra!

Alegra wpół leżała na szezlongu pod palmą na tarasie, jak w dniu przybycia Madzi do Zagórza, ale dziś żaden motyl nie nęcił jej do przechadzki.

Z pokoju, nucąc, wyszła miss Migs, lecz umilkła, ujrzawszy Alegrę, której nie spodziewała się tu znaleźć.

— Nie wiedziałam, że pani tutaj, miss Alegro — rzekła. — Zdawało mi się, że poszła pani do ogrodu, jak zwykle w ostatnim tygodniu.

Z wyrazem zniechęcenia Alegra potrząsnęła głową.

— Nie — odparła — mam dosyć spacerów i ogrodu. Znudziło mi się. Zapewne tu zostanę dzisiaj rano.

Miss Migs przygryzła usta i stłumiła westchnienie. W ciągu ostatnich dni zdawało jej się, że Alegra nakoniec zaczyna się znowu interesować życiem, a więc jest nadzieja, że wróci do ludzi, a wówczas ona także będzie wolna i porzuci to miejsce, gdzie nie czuła się zadowoloną, ponieważ nie była rzeczywiście potrzebna.

Tymczasem znowu wraca zniechęcenia, obojętność na wszystko i chorobliwa nudy.

— Z Bostonu przysłali umyślnym dużą paczkę — rzekła. — Co z nią zrobić.

Alegra lekko drgnęła. Wyraz przykrości i gniewu przemknął po jej twarzy.

— Wszystko mi jedno — odparła niechętnie. — To już niepotrzebne. Niech Jakób zaniesie do zielonego pokoju w lewem skrzydle.

Miss Migs pospieszyła spełnić polecenie. Alegra została sama.

Przed tarasem papuga wrzeszczała chrapliwie:

— Złodzieje! Rozbójnicy! Alegra! Alegra! Precz stąd! — I tak bez końca.

Wreszcie Alegra dłużej wytrzymać nie mogła. Podniosła się i zeszła po marmurowych schodach, żeby poszukać ogrodnika i kazać mu gdzie zabrać nieznośnego ptaka.

Szła krokiem znacznie lżejszym, niż przed tygodniem za owym motylem, i zupełnie nie wiedząc, kiedy i jakim sposobem, znalazła się u bramy, przed zagrodroną ścieżką, na której jeszcze był surowy napis: Przejście wzbronione.

Zatrzymała się tutaj, jak gdyby zdziwiona.

Cezar leżał przy bramie, nawpół drzemiąc. Powitał ją ogonem i ziewnięciem.

— Nie wiem, czy wytrzymają — szepnęła sama do siebie. — Co dla dzieci znaczą rozkazy? Treść słowa ulatuje dla nich razem z dźwiękiem. Z pewnością przyjdą znowu. Chciałabym się o tem przekonać.

Nasłuchiwała przez chwilę pod murem. Potem ostrożnie przysunęła się do bramy, spojrzała na drogę, najpierw przez sztachety, potem wyjęła klucz z kieszeni, cicho wsunęła go w zamek, przekręciła, uchyliła trochę wrota i wyjrzała na drogę.

Cezar za jej przykładem także wyściubił głowę i pociągał nosem powietrze.

Ale na drodze nikogo nie było, ani blisko, ani daleko, ani dokoła nigdzie na pastwiskach.

Cezar ziewnął, Alegra westchnęła.

— Szkoda! — rzekła głośno. — Tyle przyjemnych

rzeczy miałam dla nich jeszcze, gdyby nie były takie — nieposłuszne, niewdzięczne. Złe dzieci. Chodźmy, Cezar.

Zamknęła bramę, spojrzała na nią z gniewem i dosyć szybkim krokiem poszła dalej.

Cezar położył się znowu i drzemał.

Alegra doszła do części ogrodu, gdzie przechadzały się pawie, następnie do sadzawki z łabędziami. Wsiadła do czółna i zaczęła pływać, aż zmęczona, przybiła do małej wysepki. Lecz nie wysiadła na ląd. Westchnęła i ziewnęła, położyła wiosła i oparła się o poduszki.

— Jakież to wszystko dziś głupie i nudne! — przemknęło jej przez głowę.

I mimowoli stanęła jej w myśli przejażdżka z dziećmi, ich radość i zachwyt, niewinne szczęście, które się jej udzielało i budziło jakieś zajęcie.

Nie mogła sobie usunąć z przed oczu twarzyczki Madzi, więc zniecierpliwiona, znowu ujęła wiosła i popłynęła do schodów.

— Dlaczego tak się głupio skończyło? — zadawała sobie pytanie. — Przecież chciałam inaczej. Zupełnie inaczej wszystko sobie wyobrażałam. Chciałam dobrze. Lecz nie mam szczęścia. Nie wiedzie mi się w niczem.

— Złe, niedobre dzieci!

Błądziła po Parku, prawie mimowolnie zwiedzając wszystkie miejsca, z któremi łączyło się wspomnienie zabawy dzieci. Była u źródła życzeń i odeszła z gniewem: burzyło się w niej wszystko, że ta Madzia, Madzia, która tutaj wyrzekła się mieszkania w domku karzełków, żeby wyzwolić księżniczkę, okazała się tak niewdzięczną!

Zwiedziła grotę, namiot, łąkę poszukiwań, prawie widziała dzieci, oglądające skarby, słyszała Madzię, która nic nie chciała, bo „jej życzenie inne".

— O Madziu, czemuś była nieposłuszna? — szepnęła

prawie z żalem. — Tak ją sobie wyobrażałam—inaczej!— westchnęła.

Wreszcie skierowała się znów ku domowi.

Lecz teraz, zamiast usiąść na tarasie — weszła po schodach na piętro, minęła długi korytarz i znalazła się w lewem skrzydle, gdzie otworzyła drzwi znanego jej dobrze pokoju.

Był to zielony pokój. Ich pokój do zabawy z czasów dzieciństwa w Zagórzu, a dzisiaj skład rupieci, niegdyś tak cenionych.

I ona miała żywą wyobraźnię, lubiła baśnie, wróżki, wszystko, co niezwykłe, a prócz tego oboje z bratem tak niezmiernie lubili teatr, przedstawienia, żywe obrazy i fantastyczne kostjumy.

Mówiły o tem wszystkiem nagromadzone tu resztki przeszłości, które po wielu latach w ciągu dni ostatnich ujrzały światło dzienne. Na krzesłach porozkładane były jeszcze suknie staruszka, czarownicy, chłopca, siwe włosy, broda, kapelusz z czerwonem piórem, pęk strzał i inne „znaki".

Alegra spoglądała na to z żalem, wreszcie jakby zniecierpliwiona, zaczęła rzucać wszystko do wielkiego kufra, który stał otwarty, z podniesionem wiekiem.

Lecz kiedy wzięła w rękę kostjum chłopca, coś upadło na ziemię. Schyliła się i podniosła mały, czerwony kamyk w kształcie serca, z białą obwódką.

Alegra popatrzyła na niego uważnie.

— Talizman Madzi — rzekła. — Przysłała mi go, żeby mi dał szczęście. Szczęście! — uśmiechnęła się gorzko.— To najdroższa rzecz — jaką miała. Tak mówiła. — Nie wiem, ile w tem prawdy, bo cóż ja wiem o niej? Parę razy ją widziałam. Zdawała mi się inna, niż dzieci wogóle.

Nie łakoma, nie chciwa, — nawet na zabawki. Zdawało mi się, ze ma szlachetne instynkty. — Może byłam dla niej za surowa? Dzieci są ciekawe. Może moja próba była zbyt wielką pokusą? Może to z mojej strony było — niełądnie trochę,—nieszlachetnie wystawiać na pokusę dzieci?

Westchnęła i schowała kamyk do kieszeni.

Na stole przed nią leżał duży pakiet, jeszcze nie rozwinięty. Przecięła sznurek nożyczkami i zaczęła wyjmować obojętnie wszystko, co się w nim znajdowało, rozkładając na podłodze i na krzesłach lalki, zwierzęta, zabawki, szarfy, wstążki, dziecinne ubrania i książki. W osobnem pudle znajdował się błyszczący, przezroczysty, rzeczywiście prześliczny kostjum wróżki, jak ją malują zwykle na obrazkach.

Alegra ostrożnie wyjęła go z pudła i przyglądała mu się z przyjemnością.

— Śliczny! — szepnęła wreszcie. — Gdyby były jeszcze trochę dłużej wytrzymały! Co mię skusiło z tą nieszczęsną próbą! Głuptasy! Tyle miałyby uciechy.

Potrząsnęła gniewnie trzymaną w ręku szatę, jakby to były dzieci, którym chciała gniew swój okazać, ponieważ pokrzyżowały jej plany, popsuły zabawę.

Usiadła w oknie, z suknią wróżki na kolanach i talizmanem w ręku. Przypatrywała mu się tak uważnie, jakby naprawdę chciała zbadać jego wartość.

— Mogłabym napisać do nich — rzekła wreszcie. — Mogłyby znaleźć tajemniczą kartkę w jakiem niezwykłem miejscu. Może to być przebaczenie. — Chyba przyjdą wtedy?

— Madzia powiedziała, że już tylko trzy dni! — zawołała, przypominając to sobie. — No, więc nie traćmy czasu. Może być deszcz. — Lepiej, że napiszę zaraz.

Starannie ułożyła suknię wróżki na krzesełku, zeszła do bibljoteki, usiadła przy biurku, wzięła papier i pióro.

Ktoś zapukał do drzwi i miss Migs weszła z twarzą poważną, stanowczą i surowem prawie spojrzeniem.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale to sprawa pilna, — odezwała się prawie zaraz. — Przed paru dniami mówiła mi pani, że jestem wolna i mogę wyjechać każdej chwili. Sądzę, iż rzeczywiście nie jestem pani już potrzebna, i dlatego proszę, abym mogła odejść natychmiast.

— Co to znaczy? — spytała niechętnie Alegra, niezadowolona, że jej przerwano pisanie. — Czy się co stało?

— Nic ważnego dla pani, miss Alegro, — rzekła z dziwnym wyrazem pielęgniarka. — We wsi zachorowało dziecko na szkarlatynę i chcę je pielęgnować.

— Dziecko? — spytała Alegra. — Jakie dziecko? Czyje?

— Cóż to panią obchodzi, miss Alegro? — Obce, wiejskie, ubogie dziecko. — U Timina, przy drodze.

— O! — zawołała, podnosząc się z miejsca Alegra, a twarz jej zbladła nagle. — Które dziecko?

— Mała dziewczynka z miasta. Nazywa się Madzia— rzekła miss Migs wyraźnie, nie spuszczając oczu z Alegry. — Ta sama, którą Michał złapał wczoraj w ogrodzie i którą przyprowadziłam do pani. Płakało biedactwo, kiedy ją odprowadzałam, jakby serce pęknąć jej miało.

— Madzia! — szepnęła blademi ustami Alegra. — Madzia! O biedne dziecko! Gdybym była wiedziała!

— Wyglądała na chorą, kiedy tutaj była — ciągnęła dalej pielęgniarka. — Znam się na tem. Powiedziałam jej nawet, żeby zaraz się położyła. — Doktór mówi, że przywiozła zarazek już z miasta. Nic dziwnego. Mieszka w ubogiej dzielnicy, u obcych ludzi, którzy—jak się zdaje— niebardzo o nią dbają. Teraz musi być jaknajprędzej od-

dzielona od innych dzieci, i dlatego natychmiast muszę się nią zaopiekować.

Alegra patrzyła na miss Migs, jak gdyby nie mogła zebrać myśli.

— A gdzież ją oddzielicie? — zapytała żywo. — Niema we wsi takiego miejsca.

Miss Migs potrząsnęła głową.

— Zawsze jest, co być musi — odezwała się sucho. — Jest letni domek w lesie, gdzie niedawno jeszcze ktoś mieszkał. Doktór tam pojechał, żeby urządzić wszystko. Jakoś damy sobie radę.

— Ale to będzie bardzo niewygodnie. Tam niema ludzi, służby, nawet wody. Przy chorym gorąca woda, wanna — potrzebne ciągle.

— Wodę można zagrzać. Zresztą niema nic innego do wyboru. Ludność we wsi jest przerażona i żąda, żeby chorą odosobniono zupełnie, żeby była daleko od mieszkańców. Trudno się dziwić.

Alegra chwilę milczała w zadumie. Czoło miała zmarszczone, brwi zsunięte.

— Prawe skrzydło pałacu jest zupełnie puste — odezwała się wreszcie — a urządzone wygodnie dla chorych, odkąd brat mój, James, leżał tam w dzieciństwie. Pamiętam, jak płakałam, że mię nie puszczano do niego. Tam możemy umieścić Madzię.

Miss Migs szeroko otworzyła oczy.

— Czy pani — miss Alegro — czy pani mówi — naprawdę? —

— Można jej dać różowy pokój. Będzie zadowolona, gdy minie gorączka, bo jest bardzo ładny. A pani będzie miała co trzeba, pod ręką. Natychmiast zatelefonuję do doktora, ażeby Madzię tu przywiózł odrazu. Służbie rozkażę wszystko zaraz przygotować. Może pani zobaczy, co

należy kupić, i pojedzie zaraz do miasta. Albo ja sama mogę jechać automobilem.

I nie czekając nawet odpowiedzi, wybiegła z pokoju tak lekko i żywo, że miss Migs ze zdumienia słowa wymówić nie mogła. Co się stało? Po tylu latach chorobliwej obojętności na wszystko, samolubnych grymasów! Co się stało?

— Nigdy nie przypuszczałam! — szepnęła wreszcie do siebie. — Cud jakiś!

Bob i Bessy od rana siedzieli w sadzie pod drzewami, chwilowo usunięci z domu. Bob miał twarz zasępioną i prawie surową, Bessy płakała ciągle.

— Biedna Madzia! — mówiła, łkając. — Doktór powiedział, że jest bardzo chora. Ach, mój Boże! A za dwa dni ma już wyjechać do miasta. I dlaczego zachorowała właśnie teraz?

— Mówiłem jej, że nie trzeba dawać talizmanu — rzekł Bob z ciężkiem westchnieniem.

Bessy z rozpaczą pokiwała głową i zaszlochała głośniej.

— To czary, to zła jędza — tak! — szepnęła. — Ale dlaczego nie nas ukarała? Myśmy od Madzi więcej zawinili. Madzia nie chciała iść.

— Eh — rzekł Bob — żeby nie ptak, toby nikt nie wiedział! To jest najpodobniejsze do czarów, i chciałbym wiedzieć, co to znaczy.

Wtem posłyszeli turkot i zerwali się oboje, żeby wyjrzeć na drogę. Ktoś przyjechał i stanął przed ich domem. Nie, nie! to im się zdaje!

Bessy krzyknęła głośno, oczy Boba o mało nie wyskoczyły mu z głowy. Czy im się to zdaje?

Nie! Białe kuce stoją i potrząsają głowami. Co za uprząż! Stangret w liberji. W powozie jakaś pani w bła-

łym czepeczku na włosach, siedzi, jakby na co czekała. Ale te kuce, kuce!

— Białe kuce księżniczki — przemówiła Bessy drżącym ze wzruszenia głosem. — To napewno po Madzię! Jak w „Kopciuszku"!

Bob gwizdnął zcicha, nie odwracając oczu od zaprzęgu, który przykuł jego uwagę z siłą czaru.

Z domu ich wyszedł doktór, niosąc wielkie zawiniątko, które podał pani, siedzącej w powozie.

— Madzia! Madzia! — szeptała Bessy, patrząc, jak biało ubrana kobieta oparła głowę Madzi na swojem ramieniu.

Stangret ruszył lejcami, kuce potrząsnęły grzywą, i powóz potoczył się zwolna po szerokiej drodze, zmierzając w stronę Parku.

— No, — rzekł Bob nagle — tego się nie spodziewałem!

X. W PAŁACU WRÓŻKI.

Dawno już minął dzień, kiedy Madzia miała powrócić do miasta, a przecież była jeszcze wciąż w Zagórzu. Doktór Forster napisał do pana Grahama, że jest chora, i zarazem uspakajał go co do opieki, jaką dziewczynka była otoczona.

Pan Graham zaniepokoił się jednakże bardzo i chciał przyjechać zaraz, żeby sam czuwać nad Madzią, trudno mu było jednak uwolnić się od obowiązków w przytułku. Wtedy napisała do niego Alegra i odtąd zawiadamiała go codziennie o stanie zdrowia Madzi. Za jej radą odłożył

swój przyjazd do chwili, gdy Madzia wyzdrowieje i będzie mogła powrócić do domu.

Pan Graham uznał ten projekt za dobry i napisał do miss Alegry, że przyjedzie po Madzię. Tymczasem prosił tylko o jaknajczęstsze listy.

Miss Alegra pisała codzień, a niekiedy dwa razy dziennie, gdyż były chwile, kiedy lękano się o życie Madzi.

Dziewczynka przechodziła bardzo ciężką szkarlatynę, a miała sił niewiele, aby z tym wrogiem walczyć.

Naprawdę nie wyglądała już na Madzię, przestała być sobą, w gorączkowych marzeniach stawała się coraz kim innym.

Biedna zaklęta księżniczka z gorącego pokoiku na poddaszu!

Czasem zdawało jej się, że tam mieszka z Tildą, a jej proste wyrazy były wymownem świadectwem, że przecierpiała więcej, niż domyślał się nawet pan Graham.

Łzy Alegry padały wtedy na jej rozpaloną główkę. Znudzona i grymaśna mieszkanka pałacu nie przeczuwała dotąd, jakiem bywa życie sieroty.

To znowu Madzia mówiła o wróżkach. Przemawiała do nich, rozmawiała z niemi, wzywała ich i dziękowała im za pomoc. Otaczały ją ciągle, były tak dobre dla niej! One to zamieniały ciepłą wodę w dzbanku na doskonały napój, chłodny i przyjemny, który jej podawała pielęgniarka. To dobre wróżki kładły na jej czoło lekką i chłodną rękę, która uciszała troski i łagodziła bóle. One sprawiły, że jej twardy tapczan przeistoczył się w to prześliczne, miękkie łoże; one ciemną, brzydką, gorącą izdebkę uczyniły jasną, chłodną i prześliczną!

O, dobre wróżki! Jak je za to kocha! Jakby pragnęła zrobić coś miłego dla nich! Odda im swój talizman!

Innym razem rozmawiała z panem Graham, mieszała

go ze świętym Jerzym, prosiła, żeby zabił wszystkie smoki, uwolnił od czarów zaklęte księżniczki, żeby żadnej złej władzy nie było na świecie. Tak wierzyła w jego potęgę!

— Pan sam powiedział! Pan sam to powiedział! — powtarzała tak często. A miss Alegra słuchała z zajęciem, ciekawa poznać tego bohatera, którego życie było bezustanną walką z okropnym smokiem.

Kiedyindziej zdawało jej się, że jest u Timinów. Rozmawiała z Bessy i Bobem. Mówiła o Parku, zaklętej księżniczce, dobrej wróżce i nadzwyczajnych przygodach, które się przytrafiły w ciągu dni ostatnich.

Gdy gorączkowo kręciła na palcu złoty pierścionek, powtarzając słowa:

„Dziś pogoda, słońce świeci,
Wpuść, furteczko, troje dzieci!"

Alegra tłumiła łkanie, patrząc ze ściśniętem sercem na nieprzytomne spojrzenie dziewczynki, które zdawało się prosić za światem o otworzenie furtki do ogrodu, z którego niema powrotu na ziemię i w którym dzieci czują się zawsze szczęśliwe.

Dotknięcie lekkiej ręki miss Alegry miało jednak cudowną władzę nad gorączką i marzeniami chorej. Groźne, straszne obrazy płoszyło, jak podmuch lekkiego wiatru, łagodziło smutek, uspakajało, usypiało cicho podniecony umysł dziewczynki.

Aż przyszedł dzień, gdy Madzia zaczęła znów widzieć i myśleć.

Spała tak dobrze w nocy i zbudziła się dosyć późno, widocznie wypoczęta. Gorączkowe rumieńce zniknęły z jej twarzy, oczy patrzyły jasno.

Przy stoliku Alegra pisała list i właśnie podniosła troskliwe spojrzenie, które spotkało wzrok, na nią zwrócony.

I jakiś promień złączył ich oczy tak mocno, jak wtedy w Parku, że się nie mogły rozerwać.

W tej chwili pielęgniarka weszła ze śniadaniem i stanęła przy łóżku Madzi.

— Gdzie ja jestem? — spytała Madzia cichym głosem.

Alegra się podniosła, odłożyła pióro i z uśmiechem zbliżyła się do łóżka.

— Dzień dobry, Madziu! — rzekła pieszczotliwie.

— Dzień dobry — odpowiedziała dziewczynka, patrząc z wyrazem zdziwienia.

Alegra uśmiechnęła się znowu. Serce jej biło mocno i radośnie. — Będzie żyła! — śpiewało jej coś w duszy. — Będzie żyła! — Powrót do zdrowia!

— Gdzie ja jestem? — spytała Madzia po raz drugi, rozglądając się po pokoju.

— Jesteś w Zagórzu, Madziu — odrzekła Alegra słodkim, przyciszonym głosem.

— W Zagórzu? Więc to prawda? — Ja myślałam, że jestem w domu i że mi się tylko śniło o Zagórzu.

— Nie, Madziu, to jest prawda. Jesteś w Zagórzu. Ale teraz zaśnij i nie rozmawiaj więcej. No, zamknij oczy, proszę.

Madzia wypiła napój, przyniesiony przez pielęgniarkę, uśmiechnęła się, spojrzała jeszcze dookoła pełnym zachwytu wzrokiem, potem zamknęła oczy uśmiechnięta.

Odtąd już była zupełnie przytomna, ale tak osłabiona, że Alegra nie pozwalała jej rozmawiać, a Madzia była posłuszna, bo nie miała siły.

Lecz z dniem każdym stawała się coraz silniejsza i nie można już było powstrzymać jej pytań.

— To jest Zagórze. Dobrze. Ale jaki dom? To nie pokoik Bessy?

— To jest dom w Parku, Madziu.

— Pałac wróżki! — szepnęła Madzia i oczy jej zajaśniały radosnym blaskiem. — Tak mi się zdawało! A skąd ja się tu wzięłam?

— Przyjechałaś w powozie, zaprzężonym białemi kucykami, jak Kopciuszek! — zaśmiała się Alegra.

— Białe kuce! — szepnęła Madzia. — A czy Bob je widział? On tak bardzo chciał je zobaczyć!

— Widział. Widział, jak cię tu wiozły.

— Ach, jakbym chciała, żeby Bessy i Bob tu przyszli! Bessyby się podobał ten prześliczny pokój.

— Przyjdą do ciebie, jak będziesz silniejsza. Przyrzekam ci. Codzień dowiadują się o twoje zdrowie.

— Więc księżniczka im przebaczyła! — zawołała Madzia z radością. — I mnie także, nieprawdaż?

— Wszystkim przebaczyła—wzruszonym głosem odezwała się Alegra i dodała ciszej, jak gdyby dla siebie: — jeżeli tu było co do przebaczenia!

— Jaka księżniczka dobra! — mówiła Madzia z rozrzewnieniem. — I pozwala mi mieszkać w tym prześlicznym domu! Jestem w takim pokoju! — spojrzała z zachwytem dokoła. — Chciałabym, żeby pan Graham to widział. Ona jest taka dobra, jak pan Graham.

— Pan Graham wie. Pan Graham przyjedzie do ciebie, jak tylko będziesz zdrowa. Ale przedtem będziesz się bawiła w Parku, będziesz chodziła wszędzie, gdzie ci się spodoba.

— A Bob i Bessy także?

— Będą się bawili z tobą, jak zechcecie.

Madzia rozpromieniona, milczała przez chwilę, potem zwróciła oczy na Alegrę z pewnem zakłopotaniem.

— Chciałabym coś powiedzieć — rzekła cicho. — Chciałabym o coś spytać.

— Mów, Madziu, pytaj.

— To pewno mi się śniło — zaczęła nieśmiało. — Śniło mi się, — a może... Zdawało mi się, kiedy byłam chora, że dobra wróżka przychodziła do mnie i powiedziała, że ja zdjęłam z niej zaklęcie?...

Alegra pochyliła się nad dzieckiem i milczała przez chwilę, powstrzymując łzy, drżące już na jej powiekach.

— Tak, Madziu — rzekła wreszcie. — Nie śniło ci się wcale. Biedna zaklęta księżniczka tu była, ażeby ci powiedzieć, że złamałaś straszny czar klątwy. Dzięki tobie jest znowu sobą, może lepszą niż była, i wie, że jeszcze dla niej może być szczęście na świecie.

— Jak to dobrze! — szepnęła Madzia. — To z pewnością talizman!

Alegra skinęła głową.

— I ja tak myślę, dziecko.

— Więc się cieszę, że go jej dałam, choć przez to jestem chora!

— O, nie, Madziu, tak nie jest!

— To nic! — mówiła Madzia. — Wyzdrowiałam! Ale Bob zaraz powiedział!

Takbym chciała ją zobaczyć! — zaczęła po chwili. — Chociaż nie tak bardzo, jak dawniej, kiedy nie znałam pani. Teraz lubię patrzeć na panią i dlatego już nie tak strasznie pragnę zobaczyć księżniczkę.

Alegra zarumieniła się na to wyznanie; nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Ja widziałam twarz pani we śnie — mówiła dalej Madzia—i zawsze taką sobie wyobrażałam wróżkę. Czasem to mi się zdaje, że pani jest księżniczką. Czy teraz można ją widzieć?

— Widziałaś ją—rzekła Alegra, odwracając twarz pomimowoli. — Czy pamiętasz staruszkę z czarnym kotem?

— To ona!? — zawołała Madzia ze zdumieniem.

— To jedna jej postać, Madziu, chwilowa, przybrana. A pamiętasz staruszka, który was zawiózł na wyspę? To druga postać zaklętej księżniczki, ale też nie jej własna, chwilowa, przybrana. A trzecia — chłopiec z łukiem, w kapeluszu z czerwonem piórem Czy pamiętasz?

— A głos za parawanem? — zapytała Madzia. — On był bardzo podobny do pani głosu, tylko — nie taki miły, dobry. — Czy to ta sama osoba?

— Ta sama, Madziu, coraz to w innem przebraniu, coraz w innej, cudzej postaci. Lecz teraz — dzięki tobie— ona jest na zawsze sobą i taką już zostanie.

— To dobrze — rzekła Madzia. — A jak się nazywa?

— Alegra.

— Jakie śliczne i wesołe imię! To naprawdę jest imię wróżki, z gazowemi skrzydłami, z berłem i w koronie! Widzę ją, widzę! jaka do pani podobna! To pani jest Alegra, prawda! Pani jest moją wróżką!

Oparła policzek na ręku Alegry, zamknęła oczy, uśmiechnęła się rozkosznie i zasnęła.

Alegra nie śmiała cofnąć swojej ręki, żeby nie zbudzić dziecka, i siedziała tak pochylona, w bardzo niewygodnej pozie przez całe pół godziny, dopóki nie nadeszła pielęgniarka.

— Ach, jakaż pani musi być zmęczona! — zawołała miss Migs ze współczuciem.

Lekko podniosła głowę Madzi i ułożyła ją bez przebudzenia na poduszce.

Alegra wyprostowała się z rozkoszą.

— Biedactwo takie osłabione, że co parę godzin zasypia — szepnęła i wyszła na palcach.

Miss Migs patrzyła za nią z wyrazem zdziwienia, choć zniknęła za drzwiami.

— Jak żyję, nie widziałam w człowieku takiej zmia-

ny — rzekła wreszcie do siebie. — To doprawdy jedna z czarodziejskich baśni, które Madzia opowiadała małej Bessy.

Miss Migs była doskonałą pielęgniarką, i Madzia pod jej opieką szybko odzyskiwała utracone siły i wracała do zdrowia. Z każdym dniem można było już widzieć różnicę, codziennie doktór na coś nowego pozwalał. Naturalnie, że przyczyniały się do tego warunki otoczenia: świeże powietrze górskie, wygody, cisza i właściwe odżywianie.

Pewnego ranka Madzia była na tarasie. Siedziała na wygodnym, niziutkim fotelu, wysłanym różowemi poduszkami. U nóg jej leżał Cezar, a wysoko na żerdzi trzepotała się papuga, stroszące pióra, bijąc skrzydłami i krzycząc bezustannie.

Madzia „strasznie" lubiła ptaka i nigdy jej się nie znudziło słuchać jego gadania i bezmyślnych krzyków. Po wyjaśnieniu nieporozumienia, jakie zaszło przy pierwszem ich spotkaniu, stała przyjaźń utrwaliła się pomiędzy niemi.

Alegra wyszła z pokoju i usiadła przy niej na krześle.

— Jakiż program na dzisiaj? — zapytała.

— Doktór powiedział, że mogę zejść dziś do ogrodu— odparła z dumą dziewczynka. — Takbym chciała iść teraz.

— Iść, iść! — zaśmiała się Alegra. — Piękniebyś chodziła na swoich patyczkach, które cię unieść nie mogą! Księżniczka Madzia może tylko jeździć powozem!

— Ale do „powozu" muszę zejść przecież po schodach.

— Znajdzie się ktoś, kto cię zaniesie jak piórko. — Michale, chodźcieno tutaj na chwileczkę!

Z poza krzaka ukazała się niezgrabna postać ogrodnika, który zbliżał się do tarasu ciężkim krokiem.

— Ludożerca! — krzyknęła Madzia i wzdrygnęła się przerażona.

— Wstydź się, Madziu — rzekła Alegra łagodnie, ru-

mieniąc się jednakże na wspomnienie przykrej godziny. — Michał nie jest ludożercą. To mój dobry ogrodnik, który nie zrobi ci krzywdy.

— Chyba, że się też zmienił — powiedziała Madzia — jak papuga i wszystko.

— Tak, jak wszystko, Madziu. Złamałaś zaklęcie i wszystko się zmieniło. Weź, Michale, panienkę i ostrożnie zanieś do wózka.

— Zaraz — rzekł Michał, ukazując ogromne zęby w wielkich ustach.

Madzia zadrżała znowu.

— Wolę tu zostać, aż będę mogła chodzić — wyszeptała proszącym tonem, błagalnie patrząc na Alegrę.

— Niech się panienka nie boi — grubym głosem przemówił Michał. — Przestraszyłem panienkę wtedy, ale to już tak dawno, jakby tego nie było. A co mnie do tego? Nie puszczać, to nie puszczać! Ale pani ma prawo zmienić rozkaz, to jej ogród. I teraz niech się panienka nie boi, ja już nie jestem straszny.

Rzeczywiście był bardzo śmieszny z tem zakłopotaniem na brzydkiej, czerwonej twarzy i widoczną chęcią usprawiedliwienia swej nadzwyczajnej gorliwości o pańskie dobro.

— W zaczarowanym kraju wszystko zmieniło się, Madziu, nawet papuga i Michał, czyż ty jedna nie miałabyś się zmienić dla niego?

— Będę się starała — uprzejmie rzekła Madzia i oparła wychudłą rączkę na ramieniu Michała, który rzeczywiście podniósł ją jak piórko.

Cały dwór ruszył za nią: Miss Alegra, Cezar, miss Migs poprawiała poduszki na wózku, ale Michał nieść ją musiał dość daleko, bo po stopniach tarasu trudno było zjeżdżać.

Wreszcie ułożono ją znowu wygodnie. Michał wrócił natychmiast po papugę, która ochrypłym głosem wrzeszczała dając poznać, że nie chce zostać sama. A reszta towarzystwa szła dokoła wózka, który pielęgniarka lekko popychała.

Znaleźli się nakoniec na placu z kompasem. Trzeba było zjechać ze ścieżki. I znów Michał okazał się bardzo potrzebny, bo po miękkiej murawie wózek szedł opornie.

Nakoniec ustawiono go pod drzewem, w chłodzie, obok zaraz zatknięto żerdź z papugą, która z całej siły wrzeszczała: —Dosyć tej zabawy! Bierzcie się do roboty! Nicponie! Próżniaki! Zbóje!

Madzia śmiała się serdecznie.

Ach, jakbym chciała, żeby Bob i Bessy byli tu ze mną! Tak ich dawno nie widziałam! Ach, pocośmy wtedy ominęli to „przejście wzbronione!"

Wyraz przykrości przemknął po twarzy Alegry.

— Nie wspominaj, Madziu, nigdy więcej o tem — rzekła, zasłaniając jej usta. — To mi sprawia ogromną przykrość. Tyle razy powtarzałaś to słowo w chorobie, że już nie mogę słyszeć go bez dreszczu.

— Jakie to wszystko dziwne — wyszeptała Madzia.

— Rozbójnicy! Złodzieje! Trzymaj! Precz stąd! — darła się znów papuga, jakby nagle przestraszona.

Cezar podniósł się także i patrzył przed siebie uważnie.

— Cicho, Nik! — zaśmiała się wesoło Alegra i przykryła papugę swoim kapeluszem. — Goście idą — zwróciła się do Madzi.

Rzeczywiście na ścieżce ukazało się dwoje dzieci, biegnących z całej siły.

Cezar szczeknął i podążył w ogromnych susach na spotkanie, radośnie machając puszystym ogonem.

Za chwilę Bob i Bessy przypadli do Madzi, zziajani,

w odświętnych sukniach, z radosnym uśmiechem na twarzy.

— O Bessy! Bob! tak się cieszę, że was widzę! — wołała Madzia, klaszcząc w swe wychudłe ręce.

Bob i Bessy śmieli się, nie wiedząc, co mówić. Wtem przypomnieli sobie, że Madzia nie jest sama, i Bob szastnął nogami, a Bessy dygnęła. Alegra uprzejmie podała im rękę, a miss Migs skinęła głową jak dobrym znajomym.

Madzia patrzyła na to ze zdziwieniem.

Alegra uśmiechnęła się figlarnie.

— Dziwi cię, Madziu, że jesteśmy przyjaciółmi? — zapytała. — Musieliśmy się poznać z powodu twojej choroby. Dzieci chciały wiedzieć, co się z tobą dzieje, a przytem biedaki nie miały się gdzie bawić, żeby nie spotkać innych dzieci ze wsi. To też zaczęły przychodzić do Parku i jakoś poznaliśmy się dość dobrze w ciągu tych kilku tygodni.

— Znamy już cały Park, wszystko dokoła — zapewnił śmiało Bob, wskazując ręką. — Wszędzie byliśmy, wszędzie. I widzieliśmy kuce.

— Pojutrze Madzia pojedzie kucami na spacer, jeśli będzie pogoda — dodała Alegra. — Może chcielibyście pojechać z nią razem?

— O—o—o! — zawołały dzieci za całą odpowiedź.

— Więc pojutrze — rzekła Alegra. — Teraz zostawimy was samych, żebyście swobodnie porozmawiali z Madzią. Tylko jej nie męczcie zanadto. Jeszcze nie jest zupełnie zdrowa!

Alegra skinęła głową dzieciom na pożegnanie i odeszła w głąb Parku z pielęgniarką. Bob i Bessy zostali z Madzią.

— Ach, jaka ona dobra! jaka śliczna! — mówiła Madzia, patrząc za odchodzącą. — Wy nic nie wiecie, jaka ona dobra jest dla mnie!

— I dla nas! — rzekła Bessy. — Ona jest naprawdę dobra!

Uklękła przy Madzi i patrzyła na nią trochę onieśmielona. Tak dawno jej już nie widziała! I ta Madzia była teraz jakaś inna: bledsza i chudsza, a tak ślicznie ubrana, w białej sukni ze wstążkami różowemi. To tak już jakoś nie ta sama Madzia.

Lekko i delikatnie zaczęła ją gładzić po ręku. Bo ta Madzia nie może teraz biegać i nie może tak wiele mówić.

— Pozwoliła nam bawić się, gdzie tylko chcemy — poważnie oznajmił Bob. — I dawała nam cukierki i różne inne rzeczy. Mnie się zdaje, że to ona urządzała te wszystkie niespodzianki. Czy pamiętasz, Madziu?

— Naturalnie pamiętam! Jakżebym mogła zapomnieć? Moi kochani, tego nigdy nie zapomnę! Ale — jak wam się zdaje — bo ja sama nie wiem — czy to ona jest księżniczką-wróżką?

— Tutaj więcej nikogo niema — odezwał się Bob stanowczo. — Jest tylko miss Alegra i nikogo więcej nie potrzeba. Ona robi, co chce, i wszystko może.

Stanowczy ton Boba dobrze podziałał na Madzię, dał jej pewność, której tak potrzebowała. Jej słaba główka jeszcze nie była w możności rozwiązać sama tej zagadki.

— To bardzo się zmieniła — rzekła po namyśle. — Przecież ona była najsmutniejsza w świecie! Sama tak powiedziała.

— Może być. Naturalnie! — poprawił się Bob. — Dawniej wejście do Parku było dla wszystkich wzbronione, a teraz — jak wyzdrowiejesz — wszystkie dzieci będą mogły tu przychodzić.

— O! — zawołała Madzia — to się pan Graham ucieszy! On zawsze mówił, że dzieci powinny się bawić w ogrodzie. Ach, żeby on przyjechał! żebym go mogła zobaczyć! Wtedy byłabym szczęśliwa!

— Pan Graham przyjedzie — zapewniła Bessy.—Tak mama powiedziała. Wczoraj był list od niego.

— Kiedy przyjedzie? — chciwie zapytała Madzia.

— Nie wiem. Jak będziesz zdrowa, żebyś mogła z nim już powrócić. Tak mi się zdaje. Ale to już pewnie niedługo!

— Jabym chciała w tej chwili. Tak strasznie chciałabym teraz go zobaczyć i opowiedzieć mu wszystko! Ach, ja wiem jeszcze jedną tajemnicę! — dodała bardzo cicho.

— Co takiego? — ciekawie nalegali Bob i Bessy.

— To jest wielki sekret — zapewniła Madzia, — lecz miss Alegra pozwoliła wam powiedzieć, jeżeli przyrzeknie cie, że nie powtórzycie nikomu, ale to nikomu w świecie!

— Przyrzekamy! — zawołali Bob i Bessy uroczyście.

— Będzie zabawa w Parku. Wielka zabawa dla dzieci. Dla wszystkich dzieci ze wsi i z całego miasta! Ale to dopiero wtedy, jak będę zupełnie zdrowa, i nie będą się bały tu przychodzić.

— Jaka zabawa? — badał Bob ciekawie. — Ja nie lubię siedzieć w pokoju i grać w te różne gry.

— O! to nie będzie taka! — zapewniała Madzia. — To będzie zabawa w ogrodzie. I będą różne niespodzianki, jak wtedy, pamiętacie? cośmy tu przychodzili. A my troje będziemy pomagali miss Alegrze. I miss Alegra mówi, że ja nawet nie wiem, jaka czeka mię niespodzianka.

— Pewno wyborne rzeczy do jedzenia — zauważył Bob, połykając ślinkę.

— Ach, łakomcze! — zaśmiała się Madzia wesoło. — Będą najlepsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Każdy sam podyktuje, co najlepiej lubi.

— Tak? Naprawdę — Bob aż podskoczył do góry.— Zaraz zacznę spisywać, dziś jeszcze — zapewniał. — Mógłbym zapomnieć jakiej dobrej rzeczy.

Miss Migs nadeszła podczas tej rozmowy i powiedziała, że już dziś dla Madzi dość zabawy i towarzystwa, gdyż mogłaby się zmęczyć zanadto.

Więc dzieci pożegnały Madzię najserdeczniej i pobiegły do domu, opowiadać o białych kucach, któremi pojadą na spacer, i rozmyślać o obiecanej zabawie.

Madzia coraz prędzej wracała do zdrowia, stawała się coraz silniejszą, i wreszcie nadszedł dzień oczekiwany wielkiej uroczystości i zabawy w Parku z powodu jej zupełnego wyzdrowienia.

W pogodny i prześliczny poranek jesienny troje dzieci jechało z miss Alegrą wielkim automobilem, ażeby rozdać wszędzie zaproszenia. Zatrzymywali się przed każdym domem, gdzie był chłopczyk albo dziewczynka, i zostawiali kartę.

Objechali tym sposobem nietylko Zagórze, lecz najbliższe miasteczko i drobne sąsiednie osady. Miss Alegra chciała, żeby były wszystkie dzieci, które z Bobem i Bessy chodziły do szkoły, a także ich bracia i siostry. Niektóre mieszkały dosyć daleko od Parku, ale tym obiecano, że je automobil odwiezie wieczorem do domu. Tym sposobem mogły przyjść wszystkie. A to przecież taka ogromna uciecha, zobaczyć wreszcie ów Park tajemniczy, gdzie oprócz Madzi i dzieci Timinów nikt nigdy dotąd nie był.

Zaproszenia brzmiały w ten sposób:

„Bob i Bessy Timin zapraszają wszystkich znajomych do Parku na wesołą zabawę z powodu wyzdrowienia Madzi Price.

Zabawa zacznie się o 4-ej po południu we środę.

Prosimy, żeby goście mieli z sobą ciepłe płaszczyki, gdyż będą wracali wieczorem.

I niech się nie dziwią niczemu, co tam zobaczyć

mogą. Madzia jest w wielkiej przyjaźni z wróżkami, więc będą cuda i dziwy, jak w kraju zaczarowanym".

Wkrótce wszystkie dzieci w całej okolicy umiały to zaproszenie na pamięć i powtarzały jedno drugiemu bez końca. Bo też były ciekawe, co zobaczą! Nietylko Park, nieznany, tajemniczy, ale jeszcze „cuda i dziwy".

Biedne dziecko, które byłoby zmuszone dnia tego pozostać w domu!

XI. ZABAWA.

Popołudniowy pociąg, jak zawsze spóźniony, w dniu zabawy przywiózł gościa do Zagórza. Na stacji wysiadł dość młody jeszcze człowiek, wysoki, szczupły i cokolwiek blady. Łatwo było odgadnąć, że to mieszkaniec miasta, który nie oddychał podczas lata górskiem powietrzem i nie kąpał się w słońcu.

Nikt na niego nie czekał, — nikt nie spodziewał się jego przybycia dziś właśnie.

Pan Graham był zmęczony i pracą i miastem. Więc dostał urlop i przyjechał na wieś, ażeby nabrać sił nowych i zawieźć je do miasta.

I gdzie miał pojechać, jeśli nie do Zagórza? Tu przecież była Madzia, którą bardzo pragnął zobaczyć, obiecał jej nawet w liście, że przyjedzie i że powrócą już razem.

Ale nie spieszył się po nią zupełnie. Wiedział, gdzie mieszka i pod jaką jest opieką, wiedział, że potrzebuje dłużej zostać na wsi, więc niech będzie, dopóki można.

Alegra opisywała mu wszystko o Madzi i odbierała od niego dość często długie, bardzo długie listy o innych dzie-

ciach miejskich. Czytała je uważnie i myślała o nich bardzo, bardzo wiele.

Więc pan Graham nie spieszył się wcale z przyjazdem. Kiedyś to nastąpić musi.

A teraz wreszcie nastąpiło.

Wysiadł z pociągu i rozejrzał się dokoła. Na stacji, jak zwykle, nikogo nie było, nikt mu nie przeszkadzał znaleźć sobie drogę podług własnej chęci.

Zdaleka poznał Park i z przyjemnością myślał, że wśród tych drzew oddycha pełną piersią Madzia.

Potem zatrzymał się w małej oberży, zajął pokój, posilił się, odświeżył po podróży i wyszedł na przechadzkę.

Postanowił przed wieczorem iść do Parku i zrobić Madzi niespodziankę.

— Gotowa i mnie także wziąć za wróżkę — mówił do siebie i westchnął.

Szedł drogą zwolna i patrzył z rozkoszą na zielone pastwiska i drzewa, okryte mimo jesieni świeżemi listkami. To taki odpoczynek dla zmęczonych oczu po szarych murach miejskich — spragnionych zieleni.

Więc oddychał głęboko i uśmiechał się do tej wsi górskiej.

Zauważył jednakże, iż na wiejskiej drodze ruch dziwnie ożywiony. Jadą wozy, przybrane zielonemi gałązkami, na nich postrojone dzieci, słychać okrzyki, śpiewy.

— Jakaś uroczystość — pomyślał pan Graham. — Dowiem się od Timinów, co to znaczy.

Mijając bramę Parku, widział zatrzymujące się przed nią zaprzęgi, widział flagi, które na niej powiewały, rój dzieci, barwny, wesoły, krzyczący, i serce uderzyło mu radością na widok tego szczęścia i wesela. Ale jeszcze nie roumiał, o co chodzi.

W chacie Timinów nie zastał nikogo: Bob i Bessy od

rana byli w Parku, jako gospodarze zabawy, a rodzice pospieszyli tam również zaraz po obiedzie, aby patrzyć na radość dzieci.

— Coś się tu dzieje — rzekł sam do siebie pan Graham. — Widzę, że nic złego. Trzeba iść tam, gdzie wszyscy, to się dowiem.

Ale ponieważ nie chciał być zauważony, więc poszedł przedtem na przechadzkę w góry, obiecując sobie powrócić o zmroku, kiedy dzieci będą zajęte zabawą.

A tymczasem w ogromnym Parku pełno dziś było wrzawy, szczęścia i radości. Bob i Bessy u bramy przyjmowali gości i wskazywali drogę, którędy iść mają, aby przywitać Madzię, która była gospodynią przy pomocy miss Migs i Alegry.

Przybyłych częstowano wybornemi owocami, które stały na tacach i w ogromnych wazach dookoła placu zabawy, na stolikach, które się nie przewracały, gdyż były wbite w ziemię.

Zabawa rozpoczęła się o 5-ej od wyścigów, z oklaskami, nagrodami i nieskończoną ilością najzabawniejszych przygód. Część dzieci się ścigała, inne były widzami i sędziami, — potem zmieniały się role.

Była gra w chowanego, w polowanie, była muzyka i tańce, a kiedy słońce zaszło, cały Park zajaśniał, jakby usiany gwiazdami. Ktoś zapalał na drzewach śliczne, różnobarwne latarnie, a nikt nie widział kto, i stąd jeszcze większa radość i zdziwienie, a przytem pełno prób i usiłowań złapania latarnika.

Nadaremnie, naprożno! Latarnie najwidoczniej zapalały się same.

Wkrótce ogród wyglądał jak zaczarowany: kwiaty stały się dziwne, jakieś inne, drzewa, ścieżki, sadzawka i bia-

łe łabędzie, które wyszły na wodę, choć już spały poprzednio w swoim domku.

Na sadzawce ukazały się trzy czółna, przybrane latarkami, każde innego koloru, w każdem siedział wioślarz w pięknem góralskiem ubraniu, i które z dzieci chciało, mogło opłynąć czółnem koło wyspy.

Więc siadały w łódkę, ile się zmieściło, w czerwoną, żółtą lub niebieską, i płynęły pośród okrzyków radości, w towarzystwie białych łabędzi, które widać też były ciekawe zabawy, bo ani myślały o spaniu.

A na wysepce grała prześliczna muzyka, pewno w domku karzełków, o którym mówiła im Madzia i Bessy. Latarnie przeglądały się w wodzie, i zdawało się, że w sadzawce jest drugi ogród, drzewa, czółna, i latarnie, prześliczne, kolorowe.

Lecz wkrótce dzieci porzuciły czółna, bo ktoś szepnął, że zobaczą wielkie czary. Rzeczywiście pośrodku placu ułożono tymczasem jakieś podwyższenie, okryte dywanami, na niem stał mały stolik i krzesełka.

Na podwyższenie wszedł staruszek z siwą brodą i w długim płaszczu, opierając się na zakrzywionej laseczce, która była większa od niego i miała na końcu niebieską latarkę.

Staruszek skinął ręką, żeby się dzieci uciszyły, bo chce im coś powiedzieć. Więc zrobiło się bardzo cicho.

— Moje dzieci — przemówił wtenczas miłym głosem. — Cieszymy się tu dzisiaj i bawimy wesoło, ponieważ Madzia Price wyzdrowiała. Madzia jest małą, ubogą dziewczynką, ale tak kocha wszystkich, że — wszystkim daje szczęście. Jak to może dać szczęście mała, uboga dziewczynka? — A jednakże to ona dała wam dziś tę zabawę. Czy jesteście z niej zadowolone?

— Jesteśmy! Jesteśmy! — zawołały głosy, gdyż staruszek zdawał się czekać na odpowiedź.

— Nie jest to łatwo dawać ludziom szczęście, a ona to umie. Tylko pomyślcie same: otworzyła dla was bramę tego Parku, która była zawsze zamknięta. Spytałam Madzi, jakim cudem to zrobiła. Ona nie wie, lecz wierzy, że jej pomagają wróżki. Kto to są wróżki? Czyście o nich kiedy słyszały w Zagórzu?

— Nie! Nie! — wołały dzieci. — To tylko takie bajki.

— Może bajki, lecz Madzia wierzy wróżkom. Wierzy, że pomagają dobrym do dobrego, że pragną uszczęśliwić wszystkich ludzi i że to one ten Park otworzyły dla was.

— Więc żeby Madzi dziś zrobić przyjemność, zabawimy się też we wróżki, i zobaczycie zaraz takie dziwy, o jakich wam się nie śniło na świecie. A dlatego wam o tem mówię, żebyście się nie przestraszyły, bo wszystko, co się stanie, jest tylko zabawą, czarodziejską zabawą w zaczarowanym kraju. Czy chcecie zobaczyć te dziwy?

— Chcemy! chcemy!—wołały dzieci, klaszcząc w ręce.

Dokoła podwyższenia stał cały rząd ławek, siadały więc wygodnie, gdzie się komu podobało, bo ze wszystkich stron widać było doskonale, co się dzieje pośrodku.

Staruszek skinął trzykroć swoją laską i rzekł głośno:

— Przybądź, wielki czarnoksiężniku, i pokaż nam, co umiesz!

Potem zniknął w ciemności.

A na podwyższeniu zjawił się nagle ktoś inny. Ktoś wysoki i blady, w długiej aksamitnej sukni i wysokiej śpiczastej czapce, w jakiej zawsze czarnoksiężników rysują. Na czarnym aksamicie jego sukni tajemniczo połyskiwały wielkie błyszczące koła, trójkąty i gwiazdy, ciągle dźwięcząc leciuchno, jak dzwoneczki. W ręku miał berło w postaci laseczki, cieniutkie i świecące.

Stanął przy stoliku, spojrzał dookoła i trzy razy uderzył w stół swoją laseczką.

W tej samej chwili wkoło zrobiło się ciemno, tylko dokoła niego zajaśniało światło, tak, że widać go było doskonale i wszystko, co on robił.

Wtedy zaczęły się sztuki.

Wystrzelił z pistoletu w pusty, stary kapelusz i w tej chwili w kapeluszu znalazły się żywe króliki, które wyskakiwały bardzo przestraszone i zmykały do ogrodu, ku największej radości dzieci. Klaskały w ręce, śmiały się głośno, krzyczały.

Czarnoksiężnik wyciągnął obie ręce, i dzieci ucichły natychmiast. Co to będzie?

Coś mu przeszkadzało w ustach, więc sięgnął jedną ręką i uchwycił koniec wstążki, którą zaczął wyjmować, wyjmować, wyjmować. Pomagał sobie wreszcie drugą ręką, ale końca wstążki nie było, leżała na dywanie, czerwona i biała, coraz więcej, aż dzieciom zdawało się wkońcu, że na całym świecie więcej wstążki być nie może.

Wreszcie wyjął ostatek i zsunął wszystko z podwyższenia, żeby sobie dzieci zabrały i przekonały się, że to prawdziwa wstążka.

Znów uderzył laseczką. Cisza.

Teraz wziął arkusz czystego papieru, zwinął w rożek i zaczął z niego wysypywać mnóstwo zbożowego ziarna. Poprosił, żeby dzieci podstawiły ręce, i sypał je każdemu, ażeby widziały, że to naprawdę ziarno.

Wiele innych sztuk jeszcze pokazał dzieciom czarnoksiężnik, wreszcie poprosił, aby mu które dało swój kapelusz. Wziął go w rękę, potrząsnął mocno kilka razy i zawołał: — ABRACADABRA! W mgnieniu oka kapelusz napełnił się kwiatami, które zaczął rozdawać dzieciom.

W kapeluszu było jednak ciągle pełno, choć każde z dzieci miało już prześliczny bukiet.

— Macie już wszystkie kwiaty? — spytał czarnoksiężnik.

— Mamy! Mamy! — wołały uszczęśliwione dzieci.

— Więc teraz uważajcie!

Uderzył w stół swoją błyszczącą laseczką, i światło, w którem stał, zniknęło nagle, i on sam zniknął także. Niewiadomo zupełnie, gdzie się podział.

Gwar powstał między dziećmi nadzwyczajny, każde chciało coś powiedzieć, lecz natychmiast zaczęły wołać: — Cicho! cicho! — gdyż na podwyższeniu ukazał się znowu staruszek.

— Teraz wam opowiem bajeczkę — rzekł — którą zaraz „zobaczycie". Pewno znacie ją wszystkie: Był sobie biedny Kopciuszek...

— Znamy! Znamy! Kopciuszek! — wołały dzieci na wyścigi. — Znamy bajkę o Kopciuszku!

— A chcecie ją zobaczyć?

— Jak to można bajkę zobaczyć?

— Przekonacie się zaraz.

Ściemniło się, — zupełnie prawie ciemno, — nic nie widać.

Ale na podwyższeniu coś się rusza. Ktoś tam rozpalił ogień na kominku, widać kominek, drzewo na nim pali się słabym płomieniem, a Kopciuszek klęczy na ziemi i przebiera ziarnka grochu i kukurydzy, które zła macocha zmieszała. Siostry pojechały się bawić, a ona sama jedna w całym domu i przy takiej nudnej robocie.

Wtem — jakież cudne światło zajaśniało! Różowe jak jutrzenka. I w tem świetle stanęła przed Kopciuszkiem wróżka. Jaka cudna, ach, jaka cudna! W różowej sukni,

ze skrzydłami, w czepeczku z różowego dzwonka, z berłem w ręku, a taka śliczna! Ach, mój Boże!

Wróżka lekko dotknęła berłem głowy Kopciuszka. Kopciuszek się podnosi, spada z niego szara sukienka i staje się księżniczką w długiej białej szacie, z purpurowemi kwiatami na głowie, z purpurowym wachlarzem w ręku.

Dzieci nie śmią odetchnąć, oczy im wychodzą z głowy.

Co to? Co to? — Jakaż wspaniała kareta zajeżdża przed podwyższenie! W zaprzęgu białe, maleńkie koniki, cała kareta z kwiatów, na koźle woźnica w ślicznem białem ubraniu.

Wróżka pomaga Kopciuszkowi wsiąść do karety, woźnica klaszcze z bata, konie ruszają z miejsca, pojazd znika w ciemności.

Znika, ale zajeżdża znowu z drugiej strony i wysiada z niego Kopciuszek-księżniczka, i mąż jej, książę. Woźnica zostaje na koźle, i w tej chwili oblewa wszystkich dziwne światło, blado zielone, że wszyscy wyglądają, jakby duchy czy anioły. Zielone światło zmienia się w czerwone, potem niebieskie, żółte. Wreszcie wszystko gaśnie. Znika Kopciuszek, książę, woźnica i powóz.

Pod niebo wystrzeliła jasna gwiazda i rozsypała się na tysiąc kwiatów, które spadają powoli, powoli — i gasną.

Nowa gwiazda i coraz inne fajerwerki. Dzieci wydają okrzyki zachwytu, nic podobnego w życiu nie widziały. To kraj zaczarowany! To świat wróżek!

Muzyka znów odzywa się gdzieś blisko, ale nie widać gdzie. Staruszek z podwyższenia zaprasza dzieci na wieczerzę. Światło pokaże im drogę.

Rzeczywiście niebieskie światło ukazuje się w jednem miejscu i prowadzi. Dzieci idą parami, gromadkami, jak im wygodniej, wszystkie chcą dotknąć Madzi w stroju Kop-

duszka-księżniczki i Bessy w stroju księcia, wszystkich zachwyca Bob, przebrany za stangreta.

Madzia jest bardzo dumna z długiej sukni, ale niesie ją w ręku, bo iść w niej nie może: przeszkadza. Toteż jest bardzo rada, kiedy miss Alegra odpięła jej ten „ogon". Teraz jest znowu Madzią, tylko w białej sukni, — to daleko swobodniej i weselej.

W ogromnej, ogromnej sali nakryto do stołu i podawano wyborne potrawy, które wszystkie dzieci lubiły. I była woda z sokiem, doskonałe ciastka, cukierki i przysmaczki.

Bo to przecie taka wielka uroczystość: Madzia, kochana Madzia wyzdrowiała.

Dzieci wstały od stołu, kiedy wybiła dziewiąta. Wrzawa była ogromna, ale miss Alegra zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem, a gdy się uciszyło, powiedziała:

— Moje kochane dzieci. Chciałam, żeby wam dzisiaj było przyjemnie w Parku, żebyście wspominały mile tę zabawę i odwiedzały nas czasem. Nie codzień jest takie święto, i Park niezawsze bywa krajem zaczarowanym, ale zawsze jest dużym i pięknym ogrodem, gdzie zabawić się można doskonale. Więc zapraszam was całem sercem, abyście o nas pamiętały. W sobotę i niedzielę brama cały dzień otwarta, i ktokolwiek przyjdzie, miłym będzie gościem.

— A teraz, moje dzieci, czas spać na was. Dziękuję, żeście przyszły, i do zobaczenia. Nieprawdaż?

— Do zobaczenia! — powtórzyły dzieci ucieszone.

— Przyjdziemy w niedzielę, a może w sobotę!

— Dziękujemy pani za śliczną zabawę!

— Dziękujemy! Bardzo, bardzo dziękujemy!

— Kto wraca automobilem, tego Bob zaprowadzi. Bądźcie zdrowe, kochane dzieci!

Znowu wybuchła wrzawa. Dzieci szukały płaszczy-

ków. Inne Bob prowadził do automobilu. Inne chciały jeszcze pożegnać się z Madzią. Inne były już śpiące.

Wiele rodziców czekało w ogrodzie, aby zabrać swoje pociechy, — przed bramą stały wózki, bryczki rozmaite,— automobil znikał i wracał.

Wreszcie ucichło wszystko. Z bramy Parku ostatni wyszedł wysoki mężczyzna, którego tu nikt nie znał, nikt nie witał. Szedł zamyślony i na pożegnanie objął Park dobrem, serdecznem spojrzeniem.

XII. ŚWIĘTY JERZY, ZWYCIĘZCA SMOKA.

Gdy nazajutrz Alegra przeczytała głośno nazwisko pana Graham na przysłanej karcie, Madzia krzyknęła i niby jaskółka pomknęła na spotkanie przyjaciela.

Za chwilę rozpromieniona wprowadzała go na taras tryumfalnie. Miss Alegra z miłym uśmiechem powitała gościa.

— My się już znamy trochę — powiedziała. — Pańskie listy mówiły mi wiele o panu, i bardzo jestem rada, że mogę pana poznać osobiście.

— Co do mnie — rzekł pan Graham — muszę się przyznać na wstępie, że nietylko na listach ograniczam swoje obserwacje. Byłem już wczoraj w Parku na zabawie.

— O? — zawołała zdziwiona Alegra i zarumieniła się nagle.

Madzia złożyła ręce z wielkiego zdumienia.

— Brama była otwarta — tłumaczył się pan Graham żartobliwie. — Miałem prawo zobaczyć Madzię w roli Kopciuszka, co zaś do wróżki —

Umilkł i schylił głowę, niby żałujący grzesznik.

— Dla dzieci trzeba czasem stać się dzieckiem — zauważyła Alegra.

— I kto tego nie umie, ten nie będzie królował w ich duszach — dodał żywo pan Graham. — Pani jesteś prawdziwą wróżką, masz koronę i berło czarnoksięskie, do ciebie należy wielka i cudowna kraina dusz dziecięcych.

— Wiedziałam! ja wiedziałam! — wołała skacząc Madzia. — Pan Graham wszystko pozna! Ach, mój Boże!

I w uniesieniu szczęścia ucałowała gorąco suknię Alegry i tużurek pana Grahama.

— Dajmy już pokój wróżkom — rzekła, śmiejąc się Alegra.—Czasem myślę, że trzeba Madzię z tego wyleczyć.

— O, nie! — zaprzeczył pan Graham z żywością. — To jej szczęście! Szczęście w każdej niedoli — ta wiara w świat lepszy.

— Czy pan przyjechał po mnie? — zapytała Madzia, niespokojnie spoglądając na Alegrę.

— Czy nie miałabyś chęci jechać ze mną? — odpowiedział pytaniem.

Madzia spojrzała na niego uważnie.

— Jabym wolała — rzekła — żeby pan został z nami! — Tu z pewnością są także smoki i panby je zabił. Prawda, panie święty Jerzy?

— Może zostanę trochę — rzekł z dobrocią. — A nie tęsknisz do domu?

— Do domu? Do miasta? — Jakże ja mogę tęsknić? Tu tak ślicznie! Ja chciałam tylko, żeby pan przyjechał, żeby panu wszystko pokazać.

— Jabym wolała nigdy nie wracać do miasta, żeby pan tu pozostał!

— A tamte dzieci? — zapytał pan Graham. — Pomyśl że sama, czy godzi się porzucić wszystkie dla ciebie i dla-

tego, że tu pięknie, że tu byłoby nam lepiej? Koniecznie pomyśl, Madziu, czy tak można?

Madzia spuściła główkę i westchnęła. Widziała w tej chwili przytułek i dzieci, pana Graham pomiędzy niemi, opowiadającego takie śliczne rzeczy. Jakżeby wszystkim źle było bez niego!

— Słyszałam o tych smokach, z któremi pan walczy — przemówiła Alegra drżącym trochę głosem. — Ja nie wiedziałam dotąd, że jest na świecie taka praca. To wspaniałe! I — jabym bardzo chciała wziąć w tem udział. Czy pan sądzi, że mogłabym się przydać — do pomocy!

— Pani nie wątpi o tem — rzekł pan Graham — a ja mogę tylko powiedzieć, że ta praca dałaby pani wielkie szczęście. Urodziłaś się pani na wróżkę i matkę, — widziałem! Gdy poznasz bliżej ten świat tak bogaty, świat dzieci, często tak piękny, a zdeptany i pozbawiony wszystkiego, do czego ma prawo — o, wtedy serce pani zapragnie bez miary dawać, dawać i dawać! stwarzać ludzi. Ażeby to zrozumieć, trzeba poznać miasto i nędzę dzieci w mieście.

— Właśnie tego pragnę. Dużo myślałam o tem — mówiła Alegra. — Chcę skorzystać z pańskiej bytności w Zagórzu i dowiedzieć się więcej. Może wspólnie ułożymy plan działania.

Pan Graham zaczął mówić o przytułkach, ochronach, a tymczasem Madzia pobiegła sprowadzić Boba i Bessy.

Kiedy wróciła z niemi, pan Graham z Alegrą rozmawiali w tem samem miejscu i oboje byli niezmiernie zajęci. Ujrzawszy dzieci, uśmiechnęli się do siebie.

— Niech wybierze — ciszej powiedział pan Graham.

— Trudno wątpić i niepodobna się dziwić — zauważyła z westchnieniem Alegra.

Bob i Bessy nieśmiało zatrzymali się zdaleka.

— Jak się macie, dzieci? — uprzejmie witał ich pan

Graham, wstając z krzesła i podając każdemu z nich rękę. — Przyjemnie mi was poznać. Madzia tyle o was pisała. Wesołe było lato, prawda, dzieci? Serdecznie wam zazdroszczę, możecie mi wierzyć!

— Chcemy panu pokazać wszystkie miejsca w Parku! — zawołała gorąco Madzia. — Ach, tyle rzeczy muszę panu opowiedzieć! Nie mogłam przecież o wszystkiem napisać. Czy możemy iść zaraz, miss Alegro?

Zabrali go, naturalnie, bo przecież to jest najważniejsze! I zaczęła się wędrówka po Parku, zaczynając od bramy, koniecznie od bramy! bo tutaj początek wszystkiego i nie możnaby zrozumieć inaczej. Więc był mur, motyl, cukierki, owoce, — wyznaczona godzina, czarownica z kotem, pierścionki, i staruszek, i słowa zaklęcia, pawie, sadzawka, łabędzie, dom karzełków i źródło życzeń, strzały, Cezar, namiot, zabawa w Indjan, chłopiec — i wielkie odkrycie, że te wszystkie osoby — to ta sama wróżka, ta sama ukochana i zaczarowana księżniczka — miss Alegra!

Pan Graham nie mógł zgadnąć i ogromnie się dziwił wszystkiemu. Madzia trzepała niby kołowrotek, bo przecież tyle rzeczy! I takich ciekawych! Pan Graham pewno zechce, żeby mu to wszystko jeszcze choć kilka razy opowiedzieć. Sam powiedział, że miss Alegra jest prawdziwą wróżką. I czyż bez niej byłoby się to wszystko stało?

— Zaczarowana baśń! — śmiał się pan Graham, wstępując znowu z dziećmi na stopnie tarasu.

— Piękna baśń! — rzekła Alegra — ponieważ kończy się szczęśliwie.

— Ja powiedziałem Madzi, że nie wierzę we wróżki— odezwał się Bob śmiało. — Każdy wie, że niema ich na świecie.

— Ach, młody niedowiarku — zaśmiał się pan Graham. — Chciałeś zepsuć śliczną historję.

— Ale ja zawsze wierzę! — zawołała Madzia. — Wcale mię nie zepsuł. Wierzę jeszcze mocniej! I miss Alegra też, i pan, i Bessy — prawda?

— To cała pociecha — odparł poważnie pan Graham.

— Dlaczego mam nie wierzyć? — dowodziła Madzia. — I najmądrzejszy człowiek nie zgadnie, dlaczego miss Alegra poszła wtedy za motylem. Jestem pewna, że to nie był motyl, tylko wróżka. Motyl nie może mieć władzy nad nikim. I skądby wiedział, że my właśnie wtedy będziemy przechodzili tamtędy? — Albo — skąd się wziął ten talizman? Dlaczego pan go znalazł? — Dlaczego ja go zobaczyłam? Dlaczego się przyglądałam tak ciekawie? To jest przecież widoczne, że wróżka rzuciła go dla mnie.

— Może być, Madziu, — ja ci nie zaprzeczam. Przekonamy się zresztą, czy talizman do końca będzie dobry.

Gdy Bob i Bessy odeszli do domu, pan Graham też się podniósł, jakby na pożegnanie.

— Do zobaczenia, Madziu — rzekł serdecznie. — Czas na mnie. Gdy będziesz chciała powrócić do miasta, to napisz słówko. Dobrze?

— Pan odjeżdża! — zawołała Madzia przestraszona i łzy napełniły jej oczy. — Ja myślałam, że pan zostanie— choć trochę! Ja teraz — ja nie jestem jeszcze gotowa — dzisiaj —

— Nie zabieram cię, Madziu. — Możesz nie wracać wcale, jeśli nie będziesz chciała. Spytaj miss Alegry.

— Bardzo będę szczęśliwa, jeśli zostaniesz ze mną, droga Madziu. — Czy chcesz zostać tutaj na zawsze?

— Ach, jaka pani dobra! — zawołała Madzia, rzucając się z wyciągniętemi rączkami na szyję miss Alegry.

Nagle umilkła i cofnęła się do pana Graham.

— Ale ja chcę także być z panem! — szepnęła, i łzy znowu zadrżały jej na rzęsach. — Chyba wrócę do miasta—

— Słuchaj, Madziu, uważnie, — rzekł pan Graham, ujmując rączki dziecka w swój serdeczny uścisk. — Jeśli wrócisz do miasta, będziesz mieszkała w przytułku. Myślałem sobie dawniej, że zostaniesz moją córeczką, ale teraz — lepiej ci tutaj — w Zagórzu.

— O! — zawołała Madzia — być pana córeczką! Och, jakbym strasznie chciała! Jak to ślicznie! Tylko — że nie widziałabym wtedy miss Alegry! Cóż zrobię? Jabym chciała być i z nią i z panem! Nie chcę, nie chcę wybierać!

— Musisz wybrać, Madziu — smutnie szepnęła miss Alegra.

— Nie mogę — rzekła Madzia. — Doprawdy nie mogę!

I zapłakała głośno.

— Więc spróbójmy poradzić na to — odezwał się znowu pan Graham. — Możeby Madzia lato spędzała w Zagórzu, a na zimę wracała do miasta, do szkoły. Co pani o tem myśli?

— To możliwe — rzekła Alegra. — I kto wie, może nawet... Ja Madzi tutaj bardzo potrzebuję, ale nie miałam jeszcze dotąd czasu powiedzieć panu, jakie są moje zamiary. Po tem, cośmy mówili dzisiaj rano, jestem zdecydowana stanowczo. Park jest moją własnością, ojciec mi go darował, i chciałabym urządzić tu coś wspaniałego. Może letnią kolonję dla biednych dzieci z miasta? Ale taką, żeby się czuły jak w domu.

— To cudowne! — zawołał pan Graham z radością.— Zawsze marzyłem o tem, Nie przytułek, ale ognisko rodzinne. Wymarzone warunki! To byłby ideał!

— Ale pan mi pomoże? Bo przecież ja sama za mało jeszcze wiem.

— Ja chcę także być z panem! zawołała Madzia.

— Naturalnie! — zapewnił ją pan Graham, wyciągając serdecznie rękę.

— Muszę poznać takie zakłady — mówiła. — Muszę się przypatrzyć dzieciom miejskim zbliska. Przecież Madzia to pierwsze i jedyne, jakie spotkałam w życiu.

— W takim razie na zimę może pani zamieszka w mieście — rzekł pan Graham. — To byłoby najlepiej. Poznałaby pani ochrony i dzieci, i wiele rzeczy, które poznać trzeba, jeżeli chcemy stworzyć coś bardzo dobrego.

— Miałam ten zamiar — uśmiechnęła się Alegra. — Zwykle na zimę wyjeżdżałam za granicę, ale teraz wszystko się zmieni.

— W takim razie będziemy razem! — zawołała radośnie Madzia, klaszcząc w ręce. — Ach, jak to doskonale! Co za szczęście! I będę tutaj w Parku! razem z dziećmi! I będę w przytułku! Mój Boże! Mój Boże! jakaż jestem szczęśliwa! O, mój talizman drogi! Widzi pani, miss Alegro, że przyniósł i pani szczęście!

— W takim razie trzeba go oddać teraz panu Graham — rzekła Alegra z figlarnym uśmiechem. — Uszczęśliwił już mnie i ciebie, niech więc do niego wróci. Może jemu potrzebny, a może go znów odda komuś, kto nie ma innej pociechy.

— Przyjmuję — odpowiedział wesoło pan Graham — ale musi być jeszcze wspólną własnością nas trojga, dopóki się nie spełnią nasze serdeczne zamiary. Tu w Zagórzu będziemy rozdawali go kolejno najbiedniejszym i najsmutniejszym, aż wreszcie wszyscy staną się szczęśliwi. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — zawołała Madzia i miss Alegra także.

Potem wszyscy wstali, gdyż Jan zawiadomił, że śniadanie na stole.

Jakież to będzie wesołe śniadanie z miss Alegrą i panem Graham!

SPIS ROZDZIAŁOW.

1. Zaczarowana księżniczka : : : : : : : : : : 5
2. Na wsi : : : : : : : : : : : : : : : : : : 17
3. Wróżka : : : : : : : : : : : : : : : : : : 27
4. Czarownica : : : : : : : : : : : : : : : : 35
5. Życzenia : : : : : : : : : : : : : : : : : 49
6. Młodzi Indjanie : : : : : : : : : : : : : : 66
7. Przejście wzbronione : : : : : : : : : : : : 80
8. Kara : : : : : : : : : : : : : : : : : : : 87
9. Smok pokonany : : : : : : : : : : : : : : 94
10. W pałacu wróżki : : : : : : : : : : : : : 102
11. Zabawa : : : : : : : : : : : : : : : : : : 116
12. Święty Jerzy, zwycięzca smoka : : : : : : : 125